Rok II. Lwów, 1. lutego 1900. Nr. 2.

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

PRENUMERATA WYNOSI

Rocznie złr. 1.60, z przesyłką 1.84; kwartalnie 40 ct., z przesyłką 46 ct. — Numer pojedynczy 15 ct., na prowincyi 16 ct. W zaborze pruskim i w Niemczech rocznie 3 marki 40 fen. — W zaborze rosyjskim 4 ruble. — W innych krajach, należących do związku pocztowego, rocznie 4 franki 20 centimów.

Adres Redakcyi: Lwów, ul. Zygmuntowska l. 12 A. Filia Administracyi w Krakowie przy ul. św. Anny 3.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały.“ *Krasiński.*

W imieniu jego cesarskiej mości!

C. k. Sąd krajowy dla spraw karnych orzekł na mocy §§ 489. i 493. p. k. i § 37. u. pr., że treść artykułów, umieszczonych w Nrze 1. czasopisma miesięcznego „Promień“ z dnia 1. stycznia 1900, po[redacted]: „System jezuicki w galic. szkołach średnich“ w ustępie od słów: „Rozumie się“ do: „w stosunkach z uczniami“ i pod napisem: „Z powodu powstania styczniowego“ w ustępie od słów: „Otóż ze wszystkich narodów“ do końca, zawiera znamiona zbrodni z §§ 58. b) i 59. c), oraz występku z §§ 300., 302., 305. uk., zatem usprawiedliwioną jest zarządzona przez c. k. Prokuratora rządowego konfiskata tego czasopisma.

Wskutek tej uchwały wzbronione jest dalsze rozpowszechnienie tych artykułów, a zabrany nakład ma być zniszczony.

Powody:

W inkryminowanym ustępie pierwszego artykułu usiluje autor przekręceniem faktycznego stanu rzeczy pobudzić czytelników do wzgardy i nienawiści przeciw galicyjskiej Radzie szkolnej krajowej ze względu na jej działalność urzędową, co stanowi występek z § 300. u.k., oraz pobudzić do nieprzyjaźni przeciw zgromadzeniu Jezuitów, co stanowi występek z § 302. uk.; zaś w zakwestyonowanym ustępie drugiego artykułu wzywa autor do gwałtownej zmiany obecnej formy rządu, co stanowi znamiona zbrodni z § 58. b) i 58. c) uk., oraz pochwala czyny, ustawą zabronione, co stanowi występek z § 305. uk.

Lwów, dnia 5. stycznia 1900.

Zminkowski.

Bolesław Limanowski.

W roku bieżącym upływa czwarte dziesięciolecie pracy literackiej i społeczno-politycznej Bolesława Limanowskiego — pracy niezmordowanej, ofiarnej i w skutkach niezmiernie doniosłej. Czcigodny mąż ten cieszy się popularnością w szerokich kołach społeczeństwa naszego, liczne jego książki i broszury są nader poczytne, zwłaszcza wśród młodzieży, w znacznym stopniu przyczyniły się one do uświadomienia narodowo-społecznego młodego pokolenia. Dlatego też uważamy za swój obowiązek podać w „Promieniu“ życiorys tego weterana, który do dziś zachował całą świeżość umysłu, cały zapał młodzieńczy, niezłomną wiarę w przyszły tryumf sprawiedliwości i nie zrażoną niczem, iście gołębią dobroć w stosunkach z ludźmi.

Limanowski urodził się w listopadzie 1835 r. w majątku Podgórze powiatu Dynaburskiego (w t. zw. Inflantach polskich). Gimnazyum realne ukończył w Moskwie, tam wstąpił też na uniwersytet na wydział lekarski, w r. 1858 przeniósł się do Dorpatu: tu kontynuował przez rok studya lekarskie, poczem przeniósł się na wydział

filozoficzny. Jako student, zarówno w Moskwie, jak w Dorpacie, należał do stowarzyszeń tajnych. Kiedy doszła wiadomość o zwycięstwach Garibaldiego we Włoszech i o zamiarze utworzenia legionu polskiego, Limanowski latem 1860 r. wyjechał naprzód do Belgii, potem do Paryża. Dla młodzieży polskiej, mającej należeć do legionu, założono w Paryżu zimą 1860 r. szkołę wojskową. Limanowski zapisał się do niej i pilnie chodził na wykłady; nie zaniedbywał wszakże innych studyów, słuchał wykładów ekonomii politycznej i prawa publicznego, przesiadywał wolne godziny w bibliotece polskiej na Quai d'Orleans, zagłębiając się w literaturze wychodźczej. W Paryżu też stawiał pierwsze kroki literackie. W „Przeglądzie rzeczy polskich“ umieścił korespondencyę z Inflant polskich i odpowiedź Litwina „Kuryerowi Wileńskiemu“; we lwowskim „Dzienniku Literackim“ — życiorys Emilii Platerówny.

Wypadki, które zaszły w końcu lutego 1861 r. w Warszawie, kazały młodzieży polskiej odwrócić uwagę od spraw włoskich. Serca rwały się do kraju. Limanowski wyjeżdża też z Paryża. Po drodze zatrzymuje się we Wrocławiu, Krakowie, Warszawie, w końcu kwietnia przybywa do Wilna. Tu zgromadza się liczny zastęp ogarniętej już gorączką czynu młodzieży. Bolesław jest jednym z najgorętszych i najczynniejszych. Należy do pierwszego Komitetu Centralnego na Litwę, wybranego w celu kierowania działalnością rewolucyjną. Rozpoczynają się manifestacye narodowe w kościołach. Limanowski wraz z Benedyktem Dybowskim wpada w ręce policyi i w sierpniu 1861 r. otrzymuje wyrok: zesłanie do gub. archangielskiej. Osiedlają go naprzód w Meżeni, potem przenoszą do Archangielska.

Na wieść o powstaniu, Limanowski nie może dłużej usiedzieć na miejscu. Postanawia uciec. Umawia się z kapitanem okrętu angielskiego, wszystko do ucieczki przygotowane, lecz przypadek oddaje go znów w ręce policyi. Kilkodniowe więzienie jest karą za niecny zamiar wymknięcia się z pod czułej opieki rządu: chorobie Limanowski zawdzięcza, że go nie wysłano dalej na północ, lecz przeniesiono w r. 1867 — do gub. woroneskiej. W roku 1869, na zasadzie amnestyi, pozwalają mu przesiedlić się do Królestwa. Wszczynał się tam wtedy żywy ruch umysłowy, mający na celu rozpowszechnienie w społeczeństwie naszem zdobyczy wiedzy nowożytnej. Organem młodych był „Przegląd Tygodniowy“, który i dziś wychodzi, ale utracił już dawny wpływ i znaczenie. Limanowski staje w szeregu czynnych współpracowników ruchliwego pisma.

W r. 1870, chcąc mieć swobodę ruchów, Limanowski wyjeżdża do Galicyi i osiedla się we Lwowie. Otrzymuje tu posadę korektora w drukarni, nie przestając pracować na polu literackiem. W r. 1871 wygłasza w stowarzyszeniu „Gwiazda“ dwa odczyty „O kwestyi robotniczej“, które też drukiem ogłasza. To zwraca na niego uwagę c. k. policyi, która go odtąd nie przestaje mieć na oku. We Lwowie Limanowski kończy studya uniwersyteckie i otrzymuje stopień doktora filozofii, po napisaniu rozprawy „O Socyologii Augusta Comte'a“. Prócz tego ogłasza pracę p. t. Dwaj znakomici komuniści: Tomasz Morus i Tomasz Campanella.

W Polsce zaczynała wówczas kiełkować myśl socyalistyczna. Dokładna znajomość stosunków i teoryj społecznych, połączona z sercem gorącem i czułem na niedolę ludzką, sprawiła, że Limanowski wnet stanął w pierwszych szeregach głosicieli nowej „dobrej nowiny“. Tego policya ścierpieć nie mogła, zuchwały nowator — „obcokrajowiec“ opuścić musi gościnną Galicyę i iść wraz z rodziną na tułaczkę. Udaje się do Szwajcaryi, do Genewy (w r. 1878).

Tu, nie krępowany już kwarantanną policyjną, bierze w pracy socyalistycznej żywy udział. Zakłada drukarnię polską i wydaje szereg broszur popularnych, stanowiących „Biblioteczkę socyalno-demokratyczną“ (Patryotyzm i socyalizm, Polityczna a społeczna rewolucya, Ferdynand Lassalle, W obronie prawdy). Pisuje też do niemieckich i francuskich wydawnictw socyalistycznych. Najwięcej jednak czasu poświęca pracy nad historyą ruchu społecznego w XVIII. i XIX. wieku. Praca ta wyszła we Lwowie, staraniem i nakładem

młodzieży polskiej (w dwóch wielkich tomach, r. 1888 i 1890). W r. 1882 Limanowski ogłasza w dwóch tomach „Historyę powstania narodu polskiego w roku 1863 i 1864“, jedno z najlepszych dzieł w tym przedmiocie.

Dochody z pracy literackiej nie wystarczały na życie: Limanowski zakłada w Thun (w Szwajcaryi) zakład fotograficzny — bez powodzenia wszakże. Przenosi się więc do Zurychu, pchając niezmordowanie ciężką taczkę dziennikarską i literacką. W r. 1889 ogłasza we Lwowie „Krótką historyę powstania 1863 r.“, w r. 1892 w Warszawie rzecz o Galicyi, którą cenzura carska, swoim zwyczajem, niemiłosiernie „obrobiła“. W r. 1889 Limanowski bierze udział w międzynarodowym zjeździe socyalistycznym w Paryżu, gdzie też się osiedla. W r. 1892 traci posadę w drukarni, po śmierci jej właściciela. Znów tęskny wzrok zwraca do kraju ojczystego, do Galicyi, jedynej dzielnicy polskiej, gdzie jaka taka wolność panuje. Podczas wystawy krajowej przybywa do Lwowa — ale okazało się, że „robił rachunek bez gospodarza“. Gospodarzem był namiestnik hr. Kazimierz Badeni, który natychmiast intruzowi z dominium swego wyjechać kazał. Limanowski wraca na tułaczkę. Błyska mu nadzieja otrzymania posady bibliotekarza w Muzeum narodowem w Rapperswylu. Czekając w Zurychu na posadę, pisze wyborne dziełko „Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość“, które wychodzi we Lwowie w r. 1894. Obiecanej posady wszakże nie otrzymał — z powodu intryg kilku starych i młodych emigrantów, którzyby każdego socyalistę chętnie ukarali pozbawieniem „wody i ognia“ (aqua ignique). Limanowski wraca tedy do Paryża i tu, aby zarobić na chleb powszedni, codziennie przez 10 godzin odrabia pańszczyznę w Towarzystwie asekuracyjnem „New-York“...

* * *

Kto zna życie i działalność Limanowskiego, ten ze czcią pochylić musi czoło i wykrzyknąć „Ecce homo“ (Oto człowiek). Oto jeden z tych ofiarników narodowych, którzy niosą „oświaty kaganiec“ i, umiłowawszy wzniosłą sprawę, całą duszą jej się oddają, wszystko dla niej poświęcają.

A jednocześnie — nasuwają nam się gorzkie myśli... Ten starzec czcigodny, któremu schyłek życia minąć by powinien wśród swoich, którego starość szanowna powinna by być otoczona opieką narodu — pędzić musi życie na tułaczce, w biedzie, w trosce... A przecież umiemy zdobywać się na hojne dary „narodowe“ dla ludzi zamożnych...

* * *

Kilka cennych prac Limanowskiego spoczywa w rękopiśmie. Dla wydawców naszych są to rzeczy „niepopłatne“. Istnieje więc zamiar wydania w roku jubileuszowym prac tych (a zwłaszcza „Wstępu do Socyologii“) składkowym groszem ludzi dobrej woli. Gorąco popieramy ten projekt — i wzywamy czytelników „Promienia“, by przyczynili się do jego urzeczywistnienia. To jest naszym obowiązkiem.

R.

„Dzieje Polski“ p. Bobrzyńskiego.

Do niedawna jeszcze „Dzieje Polski w zarysie“ Michała Bobrzyńskiego były jedynym podręcznikiem, z którego młodzież nasza poważniejsza zapoznawała się z przeszłością swego narodu. Dzieło Bobrzyńskiego skutkiem tego wywierało, a w części wywiera i dziś jeszcze wpływ bardzo znaczny; dlatego też warto je poddać krytyce w piśmie takiem, jak „Promień“, przeznaczonem dla młodzieży. Naturalnie w krótkim artykule mowy być nie może o krytyce wyczerpującej, a nawet obszernej, nad szczegółami więc zastanawiać się nie będziemy, natomiast rozważymy zasadniczy pogląd autora i jego metodę.

Co dać powinien podręcznik obszerny, taki jak „Dzieje“ Bobrzyńskiego? Przedewszystkiem powinien przedstawić w ogólnych zarysach rozwój stosunków społeczno-państwowych i kulturalnych, następnie objaśnić, dlaczego rozwój ten przybrał takie, a nie inne formy. O ile takie objaśnienie jest głębsze i ściślejsze, o tyle dzieło nosi charakter więcej naukowy.

Opis faktów nie jest jeszcze nauką, która rozpoczyna się tam dopiero, gdzie widzimy przyczyny i skutki, powiązane ze sobą ścisłym węzłem.

Nie dość jest wskazać przyczynę bezpośrednią zjawiska lub faktu historycznego, trzeba iść głębiej i objaśnić przyczyny pośrednie i wtedy dopiero zatrzymać się, kiedy dojdziemy do faktów nie dających się wyjaśnić. Tyle co do metody.

Oceniając z tego stanowiska książkę Bobrzyńskiego, musimy zrobić jej poważne zarzuty.

Przedewszystkiem autor nie objął wszystkich najgłówniejszych stron życia narodowego, zacieśnił się natomiast zupełnie w stosunkach politycznych. Po przeczytaniu wzmiankowanej książki, nie nabieramy jasnego przeświadczenia o tem, jaką była nasza cywilizacya, jakiem było życie wewnętrzne społeczeństwa polskiego. Wiemy naprzykład, że miasta pozbawione były udziału w sejmie i uciskane przez szlachtę i dygnitarzy, ale nic nie wiemy o ich życiu wewnętrznem, nie wiemy naprzykład, czy zamieszkane były przez ludność ekonomicznie jednorodną, czy przez różne warstwy z odmiennymi interesami. Czy panowała w miastach walka wewnętrzna, czy nie? Jaki był stosunek kupców do majstrów cechowych. a tych ostatnich do podmajstrzych i uczniów?

Wszystko są to kwestye pierwszorzędnej wagi. Brak źródeł nie może tu być wymówką, bo jeżeli nie mamy jeszcze wyczerpujących danych co do wewnętrznego życia wszystkich miast, to nie brak źródeł tyczących się miast dużych, jak naprzykład Kraków i Lwów. Jeżeli od miast przejdziemy do szlachty, to i tu znajdziemy luki, brak bowiem obrazu życia wewnętrznego pojedynczych ziem. Znamy prawa szlachty na sejmie, ale nie znamy mechanizmu życia autonomicznego ziem pojedynczych, a przecież zmarły Pawiński w swych „Rządach sejmikowych“ wyczerpująco opracował ten przedmiot od końca XVI. do końca XVIII. wieku. Polska była pewnego rodzaju federacyą różnych ziem, z których każda posiadała w mniejszym lub większym stopniu swą indywidualność, przynajmniej następujące części Polski nosiły wybitne piętno indywidualne: Wielkopolska bez Mazowsza. Mazowsze, Małopolska bez Rusi, Ruś, Litwa i Inflanty, Prusy królewskie.

Poważniejszy podręcznik, przeznaczony nie dla szerzenia elementarnej wiedzy, powinien koniecznie uwzględnić indywidualność różnych części Polski, tem bardziej, że ten sam Pawiński i Jabłonowski opracowali cały szereg monografii poświęconych różnym dzielnicom Polski. Dzieło to p. t.: „Polska pod względem geograficznym i statystycznym w XVI. wieku“ jest niezawodnie chlubą naszej i wogóle Europejskiej literatury. Tyle co do braków ogólnych pod względem zawartych w podręczniku wiadomości.

Cała książka napisana jest w ten sposób, że zmierza tylko do objaśnienia upadku państwa polskiego. Nie życie narodu w różnych jego przejawach, lecz byt samego państwa występuje na plan pierwszy.

Otóż przyczyną upadku państwa i innych naszych nieszczęść był, zdaniem Bobrzyńskiego, brak silnego rządu w dawnej Polsce.

Bobrzyński nie wypowiada się jasno, jakiego rządu by chciał: kiedy opisuje upadek rządów absolutnych, wyraża zdanie, że usamowolnienie społeczeństwa nastąpiło za wcześnie. Wygłosiwszy jednak to zdanie, nie objaśnia dostatecznie, dla czego to przedwczesne ograniczenie absolutyzmu nastąpiło.

Przypuśćmy na chwilę, że rzeczywiście bezpośrednią przyczyną upadku państwa był brak silnego rządu. Zachodzi jednak pytanie, dlaczego rząd ten był słaby, nie dość jest bowiem zwalać winę na magnatów lub szlachtę.

Co spowodowało słabość władzy, siłę magnatów, znaczenie szlachty, upadek miast i niewolę? Bobrzyński robi kilka uwag o tym przedmiocie, ale są one niewystarczające. Nie wiemy naprzykład, dlaczego upadły reformatorskie dążenia szlachty za Zygmuntów Jagiellonów. Magnaci im przeszkodzili, ale jak i dla czego?

Również upadek reformacyi i silna następująca po niej reakcya katolicka nie są objaśnione. Autor nieraz umiejętnie objaśnia jakiś fakt po edynczy, jakiś zwrot polityki: tam jednak, gdzie chodzi o wykazanie przyczyn głębszych, zasadniczych

zjawisk w dziejach naszych, brak mu jasnego poglądu.

Wiele bardzo da się wytłómaczyć przez to, że p. Bobrzyński jest jednym z filarów stańczykieryi, dla której uległość władzy jest największą cnotą. Gdyby było inaczej, to niektóre jego poglądy były by inne.

Bobrzyński twierdzi, że taka niewola ludu jak u nas, była i w innych państwach, ale nigdzie nie było takiego bezrządu.

Otóż co do pierwszego, fakty przeczą temu poglądowi, bo niewola ludu, wogóle mówiąc, była cięższa u nas, niż gdzieindziej, wyjątek stanowią: Rosya, Węgry i niektóre państewka niemieckie. Cytaty z obcych historyków, opisujące w czarnych barwach położenie chłopa, a przytaczane na chybił trafił, nic nie dowodzą. Oczywiście wszędzie była nędza, wszędzie był ucisk, ale mało gdzie prawne położenie chłopa było tak okropne, jak u nas. Co zaś do bezrządu, to w różnych epokach i w różnych państwach znaleźć można pewne analogie. Aby nie być rozwlekłym, zatrzymam się tylko na Rosyi, w której panował absolutyzm, tak sympatyczny dla p. Bobrzyńskiego. Otóż w państwie carów, od śmierci Piotra wielkiego do Katarzyny drugiej, panowała zupełna anarchia, tak iż jakiś pojedyńczy pułk wojska stanowił o tem, kto obejmie tron. Tak było w stolicy; na prowincyi zaś panował chaos nie do opisania. Ale Rosya, jako państwo, nie upadła, nie miała silnych sąsiadów, któryby mogli wyzyskać jej położenie wewnętrzne.

Między anarchią polską a rosyjską ta była różnica, że w pierwszej żywiołem destrukcyjnym byli magnaci i szlachta, w drugiej zaś — urzędnicy cywilni i wojskowi.

Kiedy zwrócono uwagę Bobrzyńskiemu na Hiszpanię, którą absolutyzm doprowadził do większego upadku, niż Polskę anarchia szlachecka, to odpowiedział: „jeżeli w Polsce go było za mało, w Hiszpanii było go zanadto“. Rząd hiszpański odebrał wszelką samoistność społeczeństwu, wyzyskał ją wyłącznie na korzyść państwa, zamiast ją siłą państwa, dobrą administracyą dźwignąć i pracę jego popierać. „Nie upadła więc Hiszpania politycznie, ale strawiła się wewnętrznie, wyjałowiła pod względem społecznym dla złego rządu“ (tom II. str. 355, przypisek). W obec takiego wyznania trudno zrozumieć, jak można doradzać, jako lekarstwo, absolutyzm. Mówię absolutyzm, bo Bobrzyński nie formułuje ściśle, co rozumie przez dobry rząd. Hiszpania dziś jeszcze przy istnieniu konstytucyi nie może się prawidłowo rozwijać po tej epoce upadku, spowodowanego przez rządy absolutne.

Jeżeli Hiszpania nie upadła politycznie, to nie dlatego, że istniał tam rząd absolutny, gdyż przy tym rządzie nie było porządnego wojska, ani okrętów wojennych; pozostała ona państwem niezależnem poczęści dzięki warunkom geograficznym, po części zaś dzięki układowi sił międzynarodowych w Europie zachodniej.

Chcąc zrozumieć upadek państwa Polskiego i szereg innych ważnych zjawisk naszej historyi, trzeba stanąć na innym gruncie, niż Bobrzyński. Przedewszystkiem trzeba się zatrzymać nad pytaniem: dlaczego w Polsce potęga magnatów i szlachty nie znajdowala żadnej przeciwwagi w mieszczaństwie, dlaczego to ostatnie było słabe?

W dawnej Polsce były dwie prowincye, w których żywioł miejski mógł się łatwiej rozwinąć, dzięki sprzyjającym warunkom dla handlu i przemysłu: Pomorze i Śląsk. Ziemie to były pograniczne i trudno je było Polsce utrzymać wobec potężnych zachodnich sąsiadów. Skutkiem tego wymykały się one z rąk naszych, a chociaż Pomorze częściowo wróciło w 1466 roku, to jednak jego miasta były wówczas zniemczone i nie zrosły się organicznie ze społeczeństwem polskiem.

Bobrzyński w sprawie miast robi tylko uwagę, że mieszczaństwo było w XV. wieku jeszcze zniemczone, że okoliczność ta przeszkadzała mu zająć miejsce odpowiednie w państwie, i że przez politykę krótkowidzącą, usuwało się ono od udziału w sprawach państwowych.

Wszystko to jest prawdą, ale zapominać nie należy, że mieszczaństwo wogóle było nieliczne wobec szlachty, na której liczebność wpłynęła ta okoliczność, że równiny i granice nie mające obrony naturalnej, wymagały licznej warstwy strzeżącej państwa — rycerstwa, które

przeobraziło się w szlachtę. W końcu XVIII. wieku szlachty w Polsce było 725.000, we Francyi zaś tylko 140.000. Mieszczan chrześcian w Polsce tej epoki było tylko 500.000.

W ten sposób zrozumiemy, dlaczego szlachta i magnaterya miały tak wielką przewagę w Polsce. Rozumiemy, dlaczego król nie mógł się oprzeć ich przewadze, dlaczego lud był pod takim uciskiem. Ale na tem nie koniec. Brak wolnego mieszczaństwa uniemożliwił rozwój reformacyi. Reformacya tam tylko zdołała dokonać pewnych zmian głębszych, gdzie łączyła się z dążeniami społecznemi.

W Polsce mieszczaństwo było słabe i niejednolite pod względem narodowościowym, chłop był przybity, pozostawała szlachta.

Reformacya u nas rozgrywa się na tle walki między szlachtą a duchowieństwem o wpływ i środki materyalne. Walka ta jednak nie mogła przybrać szerszych rozmiarów, bo między duchowieństwem a szlachtą w Polsce nie było w wieku XVI. antagonizmu zasadniczego. Jeszcze przed reformacyą szlachta przeprowadziła cały szereg uchwał sejmowych, oddających wszystkie ważniejsze godności duchowne wyłącznie tylko szlachcie. Okoliczność ta osłabiała walkę szlachty z duchowieństwem i reformacya, będąca u nas przejawem tej walki, nie rozwinęła się należycie.

Tak samo próby naprawy Rzeczypospolitej przez szlachtę na niekorzyść magnatów spełzły na niczem, bo między pierwszą a drugimi nie było takiego antagonizmu zasadniczego, jaki panował n. p. w Niemczech między rycerstwem a panami feudalnymi, posiadaczami wielkich obszarów lennych. Dlaczego w Polsce feudalizm polityczny się nie rozwinął, trudno bardzo jest odpowiedzieć, może jednak przyczyną tego zjawiska był brak podbojów politycznych w epoce history cznej. Na tem musimy się zatrzymać, gdyż dalej w głąb przeszłości wiadomości nasze nie sięgają.

W Polsce XVI., XVII. i XVIII. wieku przejście od szlachty do magnateryi nie było utrudnione. Zwykły szlachcic, który dostał od króla kilka starostw, przynoszących dużo dochodu, stawał się ekonomicznie magnatem, o ile zaś syn jego przez małżeństwo lub datki królewskie utrzymywał się na stanowisku, to przenosił ród swój do sfery magnatów.

Oczywiście więc nie mogło być walki zasadniczej, walki na śmierć i życie między magnatami a szlachtą, dlatego też ruch reformatorski, który wyszedł z łona szlachty, nie mógł wydać plonu. Dlaczego nasze reformy w XVIII. wieku nie były radykalne, lecz umiarkowane? Dlatego, że mieszczaństwo było słabe, reformy więc wychodziły od szlachty i były połowiczne.

Państwo Polskie nie upadło w czasach zastoju kulturalnego i zupełnej anarchii, lecz wtedy właśnie, kiedy szybko podnosiło się z upadku. Gdyby Rosya była przez czas dłuższy skrępowana w swych ruchach na zachodzie przez wojnę z Turcyą, wówczas Polska mogłaby wykończyć swe reformy i jako państwo nie upaść. Nie można więc całkowicie upadku państwa kłaść na karb wewnętrznego nierządu, lecz trzeba uwzględnić w wysokim stopniu układ sił międzynarodowych w końcu XVIII. w.

Gdyby Polska nie miała instytucyi wolnościowych, instytucyi wyłącznych prawda, ale dających swobodę znacznej części ludności — szlachcie, to nie moglibyśmy tak szybko dążyć do odrodzenia w końcu XVIII. wieku. Despotyzm monarchiczny jest niebezpieczniejszy jeszcze od wyłączności stanowej, jest korzystny dla daleko mniejszej garstki, niż ustrój stanowy. Łatwiej jest wybrnąć z błota stanowego, niż z więzienia despotyzmu.

Pomimo naszego politycznego upadku nie potrzebujemy zazdrościć społeczeństwu rosyjskiemu, które ma państwo niezależne, ale też okupuje je kosztem najżywotniejszych sił społecznych. Państwo rosyjskie tępi najlepsze jednostki ze społeczeństwa rosyjskiego. To ostatnie jest nieme i ręka własnego despoty jest może cięższa, niż byłaby ręka obcego.

Tak się przedstawiają zagadnienia historyczne, poruszone przez Bobrzyńskiego, w świetle bezstronnej analizy.

Bobrzyński jest przedewszystkiem doktrynerem, nie sięga głęboko przy objaśnianiu zjawisk. Historyę traktuje jako

środek do uzasadnienia swych doktryn, dlatego też książka jego nie ma głębszej wartości naukowej.

Jak więc objaśnić wobec tego zapał, z jakim była przyjęta nie przez samych tylko zacofańców?

Sądzimy, że przyczyną tego było wprowadzenie przez Bobrzyńskiego do dzieła swego rozumowania, wprawdzie rozumowania powierzchownego, nieuzasadnionego, ale zawsze ożywiającego przedmiot, pobudzającego do myślenia, krytyki i t. d.

Zresztą jest jeszcze jeden wzgląd, dla którego książka Bobrzyńskiego może się podobać nawet radykałom. Autor jest zwolennikiem polityki stanowczej, zdążającej do celu śmiało i wytrwale, łamiącej wszelkie przeszkody. Autor żałuje, że królowie polscy polityki takiej nie prowadzili. Czytelnicy jego mogą się przejąć tą zasadą rewolucyjną, ale zastosować ją w innym kierunku dla innych zgoła celów.

Q.

ADALBERT CHAMISSO.

Pieśń stróżów nocnych

(1826)

Eteignons les lumières
Et rallumons le feu.
Béranger.

Hej, panowie gospodarze!
Słyszcie, która na zegarze!
Czas do domu, światła zdmuchnąć!
Boby pożar mógł wybuchnąć.
Chwała Jezuitom!

Światło zgoła jest zbyteczne,
Światłe głowy niebezpieczne,
A czyja już światła głowa,
Niechaj ją pod korzec schowa.
Chwała Jezuitom!

Gardźcie hasły przewrotnemi!
Bóg na niebie, my na ziemi,
A król absolutnym — póki
Naszej słuchać chce nauki.
Chwała Jezuitom!

Żyjcie cicho, bogobojnie,
To się wam opłaci hojnie,
A niech każdy, co ma ducha
Światła zdmuchnie, żar rozdmucha.
Chwała Jezuitom!

Żar w bożego cześć imienia,
Dla kacerzy nawrócenia
I wszelakich myślicieli,
Taki zwyczaj ojce mieli.
Chwała Jezuitom!

Hej nikt niechaj się nie trwoży
Niech się każdy spać położy
I zdrów całą noc przemarzy;
Już stoimy my na straży.
Chwała Jezuitom!

Ld.

Pierwiastek narodowy i społeczny
w poezyach Konopnickiej.

II.

„Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżną jako oceany,
A taką straszną, jak rozwarte rany?...“

Tak zwana kwestya społeczna, która dzisiaj spędza spokojny sen z powiek nietylko wielkich kierowników politycznych, panujących i mocarzów złota, ale nawet filistra pospolitego pozbawia pożądanego apetytu, przerywa mu błogą drzemkę i zmusza do myślenia, kwestya ta stała się dzisiaj osią życia i interesów społeczeństw. Przenika wszędzie, objawia się w każdej dziedzinie życia publicznego, a usunięta w jednem miejscu, z podwójną siłą występuje w drugiem.

Nic dziwnego więc, że echo jej odbija się także w dziedzinie najwyższych ludzkich dążeń, w czystej atmosferze ducha, w poezyi. W ten sposób idea społecznego zrównania, idea sprawiedliwego podziału skarbów materyalnych i umysłowych, wprowadzona w ten nadzmysłowy świat ideału, występuje czystsza i doskonalsza: szorstkie, nieraz brutalne cechy jej realnego bytu znikają, usuwają się na plan drugi — występuje zaś sama istota wielka i nieskalana. Idea uszlachetnia się. Z drugiej strony poezya, jako abstrakcya, często nie wiążąca się z życiem, przez przyjęcie tej idei nabiera prawdy, staje się odbiciem życia a wyobrażeniem przyszłości.

Ten proces — jeżeli można się tak wyrazić: wzajemnego przenikania życia i

poezyi, widoczny jest u Konopnickiej. A równocześnie w poezyi jej widzimy, jak on zbawiennie wpływa na obie te sfery. Poezya nabiera siły, potężnieje — myśl społeczna obleka się w wielki i czysty ideał.

Jeżelibyśmy się teraz chcieli dowiedzieć, w jakim stopniu, w jakiej skali utrzymuje się u Konopnickiej ten pierwiastek społeczny, to zobaczymy, że jest on osią, szkieletem, jeżeli nie wszystkich, to przynajmniej znacznej części i najpiękniejszych utworów. Czasem drobny szczegół, jakiś mały obrazek z życia wystarcza, by potrącić tę ponurą strunę. Ot chłopcy ze wsi przychodzą do dworu z szopką. Na dworze śnieg i mróz, a oni stoją pod oknem i życzą szczęścia. Wtem jednemu z nich przychodzi na myśl, czemu to do nizkiej chaty nigdy nikt ze dworu nie przychodzi z dobrą nowiną a oni tak zawsze idą tu śpiewać.

Ale nie trzeba szukać aż takich przeciwieństw. Życie ludu przedstawia całą otchłań prawdziwych, wstrząsających dramatów, które może dlatego, że bohaterowie ich to nieznani biedacy, których nędza, głód, upodlenie pchają do zbrodni— są czemś tak powszechnem i naturalnem, że nie zwracają uwagi. — Dziewczyna wiejska idzie do miasta, bo we wsi rodzinnej nie ma już co robić. Ojciec przy pługu z wycieńczenia padł martwy, a matka, z chaty wygnana, jest komornicą. Dziewczyna idzie do miasta wielkiego, rojnego, gdzie wśród przepychu i zepsucia czeka ją hańba lub śmierć głodowa. W innym utworze: „Jaś nie doczekał“ poetka wprowadza nas do izby wyrobnika, przesiąkniętej zgnilizną, gdzie na barłogu chłopak zmaga się z zabójczą chorobą. Lekarz nakazuje świeże powietrze, ciepło i ludzki pokarm. W chałupie stęchlizna dusi a mróz skrzy się po ścianach. Taka zmiana tylko może go uzdrowić. Wyrobnik ani lepszego schroniska, ani lepszego pokarmu dziecku dać nie mógł. To też łagodne promienie słońca wiosennego znalazły w izbie już trupa.

Lud z natury swojej przywiązany jest bardzo do ziemi. Dopóki najuboższy chłop ma bodaj chatę własną, choć i bez gruntu, dopóty czuje się szczęśliwy i podejmie się najcięższej pracy, byle utrzymał się przy ojcowiźnie. Gdy mu ją zabiorą, lub gdy ją utraci przyciśnięty biedą, wówczas staje się prawdziwym nędzarzem, bo nie widzi celu, dla którego by żyć warto. Niemą, bezsilną rozpacz takiego paryasa widzimy w „Wolnym najmicie“. Władze zabrały mu chatę za podatki. Wyrzucony, nie żegnał się z nikim; na wiosnę ostatnie dziecko, opuchłe z głodu, umarło, a pies na łańcuchu już się dźwignąć nie mógł. Więc nie żegnał nikogo, tylko zawiązał garść ziemi do szmatki i poszedł w świat, jako „wolny“ najmita.

Ciemnota umysłowa, obok nędzy materyalnej i upośledzenia społecznego, to najobfitsze źródło moralnego zwyrodnienia ludu. Gdzie więcej oświaty i dobrobytu, tam mniej przestępstw i zbrodni. Tylko ubóstwo i brak umoralniającego wpływu nauki popycha ciemne masy do występków, przytępiając w nich uczucia ludzkie. I w wielu wypadkach, kiedy przed sądem stają nieletni zbrodniarze, wyrok brzmieć powinien jak słowa, które sędzia mówi do młodego chłopca („Przed sądem“): „Pójdź, dziecię, ja cię uczyć każę“.

Podobne motywa w rozmaitych formach i odmianach powtarzają się ciągle. Poetka ma tak wrażliwe serce na wszelkiego rodzaju niedolę, że w każdym wierszyku widzimy nowy szczegół, świeże ogniwo w tym niekończącym się łańcuchu ludzkiej biedy. Ogrom zaś tej nędzy, rzucający się w oczy niezliczonem mnóstwem objawów, trzyma w ciągłem oblężeniu duszę poetki. Ona widzi łzy, słyszy jęki, czuje cierpienia wkoło i to doprowadza ją do rozpaczy. Spokój umysłu ustępuje wtedy namiętnemu protestowi, lub gryzącej ironii. Płomienne słowa wyzywają, przeczą istnieniu Boga, zarzucają mu obojętność i nieczułość:

Nie płaczcie smutni!
Ach, czy wy myślicie,
Że tam wysoko w tym cichym błękicie
Jęk wasz odbity od gwiazd złotych proga
Zakłóci spokojność Boga?
Czy wy myślicie, że okrzyk nędzarzy,
W srebrne przejrzyste rzucony powietrze,
Wstrząśnie lazury i blaski z nich zetrze
I ciszę niebios znieważy?
. . . .

Czy wy myślicie, że ust waszych skarga
Jakieś marzenie wieczności potarga
I że rozdźwiękiem bić będzie w błękity,
Aż Bóg się zbudzi ukryty?"

I jakby na poparcie tej obojętności opiekuńczego ducha nawet wówczas, gdy nieszczęśliwa ofiara modli się z wiarą, taki wybiera epizod. Noc zimowa. Zmarznięty chłopak chciał wejść do bramy i ogrzać się; ale stróż wypchnął go i zatrzasnął bramę, by nędzarz nie zamarzł przypadkiem i nie sprawił niepotrzebnego kłopotu. Biedak zalał się łzami i poszedł dalej, tam, gdzie majaczyły mury świątyni.

„Chciał wejść, lecz kościół szczelnie był
zamknięty
Razem z litością i Bogiem".

Chłopak uklęknął na zimnych kamieniach stopni i począł mówić „Ojcze nasz". Modlił się a mróz przenikał ciało, z ust szepczących modlitwę ulatywała srebrna mgła oddechu —

„Wreszcie zanikła... wpół otwarte wargi
Przestały szeptać modlitwy i skargi...
Wobec ciemnego, milczącego gmachu
Dziecię skonało bez dachu!"

Niema naturalniejszego i silniejszego uczucia, jak przywiązanie matki do dziecka. Uczucie to wspólne człowiekowi i zwierzęciu, przenikające całą żyjącą naturę, jest jednym z ważnych czynników utrzymania gatunków. Jest ono tak samo prawem natury, jak odżywianie, rozmnażanie i t. p. U zwierząt też rzadko się zdarza, by matka porzuciła swe młode, lub nie dość gorliwie troszczyła się o ich istnienie. Ale ludzie między sobą zmuszają się do przekraczania i łamania najświętszych praw, zniewalają gwałcić naturę, przeciwstawiając jej przyrodzonym wymaganiom — marne przepisy, sztucznie stworzoną moralnością wydmuchane kodeksy. To też gdy się mówi o przeistoczeniu stosunków obecnych, obok ekonomiczno-społecznych przekształceń, powinno się mieć na myśli przedewszystkiem zburzenie owego zmurszałego, w istocie swej prawdziwie niemoralnego i przeciwludzkiego gmachu dzisiejszej etyki i moralności. Dzisiejsza etyka bowiem jest zaprzeczeniem etyki, a dzisiejsza moralność przeczeniem moralności. Obie one są w zasadniczych swych tezach dzisiaj krzywdą ludzkości.

Młoda kobieta, „zdobyta" zapewne „wyższością kultury" jakiegoś panicza, idzie w noc mroźną, bosemi stopami zapadając w śniegu, a w głowie jej szalone myśli krzyżują się ciągłym nawałem. Nie idzie, ale biegnie, bo „zbrodnia ustać by jej nie dała". A tą zbrodnią — dziecię śpiące, porzucone pod murem. Poetka zadaje sobie szereg pytań, co ta matka uczynić ma z dzieckiem swojem i... z sobą? Gdy się dostanie w ręce sprawiedliwości, osądzą ją jako zwykłą zbrodniarkę, gorzej — jako morderczynię własnego dziecka, a przeciętny filister nazwie ją potworem bez serca. A jednak może ta młoda matka ma więcej serca i więcej godności człowieka, niż tysiące innych. Bo co czekać będzie jej chłopczyka w życiu? — Przyszedł na świat, nie pytając o zezwolenie władzy duchownej, ni świeckiej. Od pierwszej chwili życia wybiją mu bezmyślny a okrutny stygmat na czole: „nieprawego pochodzenia", który będzie musiał dźwigać do śmierci. Tułać się będzie samotny po świecie, a ludzie, przejęci „duchem etyki i moralności", uciekać będą od niego, jak od zapowietrzonego. Piętno „pochodzenia" przylgnie do niego i zatruje każdy dzień, każdą godzinę w dniu, każdą chwilę. Na nic przymioty serca i umysłu. Chociaż będzie najszlachetniejszym z ludzi, dozna upokorzeń i wzgardy od wszystkich, a pierwszy lepszy łotrzyk „prawnie urodzony" rzuci mu w oczy „pochodzenie". Wyzują go z wszelkiej czci i godności, usuną od towarzystw, życia i stosunków, aż życie to stanie się dla niego piekłem.

Czyż to nie dosyć odstraszający obraz przyszłego losu dziecka dla matki, któraby szczęście dla niego stworzyć chciała? Raczej niech zginie teraz, kiedy tylko matczynej piersi mu trzeba — niżby miał cierpieć niewinnie.

Tego motywu zbrodni poetka co prawda nie porusza, natomiast zajmuje ją więcej los matki. Pytania, które jak błyskawice jedne po drugich zjawiają się w mózgu kobiety, wszystkie mają na

celu dziecko. Więc nie wie, czy ma wrócić do niego i żebrać przebaczenia u tej słabej, niewinnej istoty, że je porzuca, a potem podać ostatni raz piersi i pożegnać na zawsze; czy oddać się hańbie zaprzedając swe ciało, czy też uciec daleko w lasy i puszcze i tam zdala od ludzi szukać zapomnienia.

Myśliciel, do którego się zwraca poetka, nie daje odpowiedzi na pytania.

Potępiając w wierszu „Do Kobiety" małżeństwa tegoczesne, których zasadą jest materyalna, moralna i umysłowa przewaga mężczyzny nad kobietą — męża nad żoną, w których ta ostatnia jest tylko uprzyjemnieniem życia, zresztą zaś rola jej ogranicza się drobnostkowemi zajęciami domowemi — Konopnicka stawia jako ideał małżeństwo oparte na łączności i równości duchowej dwóch istot, na umiłowaniu i zespoleniu się dusz w krainie ideału. Miłość wówczas ma święte, nieskalane i czyste znaczenie:

„Kocham" to znaczy: twoje ideały
I twoje cele są także mojemi:
Pracujmy razem, by rozświt dnia biały
Prędzej rozbłysnął na ziemi!

. . . .

„Kocham" to znaczy: ja chcę być dla ciebie
Prawdy i dobra i piękna zaklęciem

. . . .

Chcę być twą myślą i ramieniem twojem
I przyjacielem i żoną".

Zagadka bytu człowieka, jak od wieków zajmowała najwybitniejsze jednostki i zmuszała do tworzenia filozoficznych hipotez, tak jeszcze prawdopodobnie długie wieki w przyszłości będzie stanowiła centrum dociekań i badań w zakresie wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej.

Każdy samodzielniejszy umysł, któremu nie wystarczają płytkie, pleśnią wiekowej nietykalności pokryte aksyomaty, które masy bezdusznych, lojalnych ludzi uznają za ostatni wyraz ludzkości— musi nakoniec stanąć wobec tej zagadki. A chociaż odchodzi jak inni z niczem, nie wzbrania myśli powracać do tego przedmiotu. Zagłębianie się w tajnikach wszechbytu, daremne a jednak ciągle powtarzające się usiłowania rozdarcia niezbadanej zasłony, ukrywającej znaczenie i przeznaczenie, wnikają tak dalece w jednostki, że stają się chorobą ciężką duszy, którą niemcy tak trafnie określają wyrazem: „weltschmertz". Jest to cierpienie bez wątpienia egotyczne, indywidualne i jest dowodem do pewnego stopnia egoistycznych skłonności. Tam bowiem, gdzie człowiek odczuwa żywo, gorąco niedolę otaczających stworzeń, nie może ono opanować zupełnie człowieka, bo wprost przeciwne popędy altruistyczne osłabiają, niszczą jego rozkładowy wpływ. Dla tego też u Konopnickiej ono nie bierze góry:

„Nigdy ja na tej nie stanę wyżynie,
Kędy przed wzrokiem wpatrzonym w wszechświaty
Ziemia z swą nędzą tak blednie i ginie,
Jak tęcz mdlejących szkarłaty!

Tak, Konopnicka nigdy nie zstępuje ze stanowiska społecznego. Dźwiga na sobie cały ciężar niedoli, całą masę skarg, boleści, cierpień przejmuje i wchłania w siebie, tak iż zdaje się, że one wtłoczyły się w każdą komórkę mózgową i wcisły się w każdy nerw duszy. Czasami oddecha spokojniej: znajduje wśród strasznego odmętu jakiś jasny, świetlny, nieomylny punkt, który pozwala ufać, pozwala spodziewać się. Ale to pozorne ukojenie wnet znika, gdy jakiś moment życia błyśnie jak krwawą pochodnią, nową krzywdą, lub świeżą raną w oczy poetki. A wtedy znikają spokój i nadzieja, wali się cały gmach przyszłości lepszej, wzniesiony rojeniami duszy. Jak powrotne fale oceanu, uderzają o zbolałą duszę nowe obrazy tortur ludzkich, refleksye tłoczą się, wywołując znowu smutny nastrój wiersza:

„Ja będę latać jako ptak zraniony
Nizko nad ziemią tą, co w bólach kona,
Bym mogła ująć z miłością w ramiona
Smutnych miliony!

. . . .

W miesięczne noce ze mgłami srebrnemi
Posłyszę skargi i rany obaczę
I pytać będę uśpionej tej ziemi:
Ach kto tam płacze?

I choćby wszyscy milczeli, ja przecie
Błękity wstrząsać będę swym protestem.
I gdy Bóg spyta: sąż smutni na świecie?
Odpowiem: Jestem!

Czując, jak jest źle na świecie i pragnąc zmiany i polepszenia stosunków — pragnie, by taka zmiana nastąpiła jak najprędzej, by słowa gorące, wielkie nie padały daremnie, ale poruszyły serca; opamiętały gnuśnych, a przeraziły nikczemnych i podłych. Tymczasem życie idzie swoim trybem: nieszczęśliwi cierpią, płaczą i giną — egoiści, próżniacy, wyzyskiwacze, wołają „carpe diem“, używają życia i ani myślą posypać głów popiołem. To jest bolesne: bo czyż warto walczyć i pobudzać do szlachetnej walki, kiedy to nikogo nie wzrusza ani też niczego nie zmienia? Czy warto mówić o cierpieniu, o nędzy i upadku upośledzonych, o przyszłości wielkiej i sprawiedliwej, kiedy:

„Ani jeden duch służalczy
Nie podniesie zgiętej dłoni,
Ani jedna wielkość karła
Nie zachwieje się na tronie,
Ani jeden kwiatek z głowy
Nie wypadnie tanecznicy,
Ani jedna wina czara
Nie drgnie w dłoni biesiadnika!“

Ale podobne myśli są wyrazem chwilowego usposobienia, a chociaż wywołane smutną rzeczywistością, jednak pozostają odosobnione wśród bardzo wielu zdań, haseł i myśli, wypowiedzianych przez poetkę, w których drga energia, zapał, wiara w przyszłość i w zwycięstwo idei.

Jednym z takich utworów, kończącym się pełną życia pobudką do pracy, jest wiersz p. t. „Czy marzą?“

„Czy te ramiona od taczek swej biedy
W chwilach tęsknoty podnoszą się kiedy,
Tam gdzie ludzkości całej ideały
Tron mają biały?

Bladzi nędzarze przy cudzym warsztacie,
Co zasypiają pod snów ciężką strażą,
I ci, co wloką dni w zapadłej chacie,
Czy oni marzą?

Czy słyszą kiedy wśród samotnych godzin
Głuchy szum wieków idących z kolei
I ciche szmery tajemnych narodzin
Wielkich idei?

Czy w odrętwieniu swojem lodowatem
Czują ten płomień braterskiej miłości,
Co łączą duchy nad nędzą i światem
W imię przyszłości?

Jeśli nie — szerzej rozniećmy ognisko
Niech spotężnieje i światło i ciepło.
Uściskiem bratnim przyciągnijmy blizko
Pierś ludu skrzepłą!

Jeśli nie — wyżej podnieśmy sztandary!
Niech nędzarz dojrzy walczących z ciemnotą
I niech dosłyszy okrzyk pełen wiary
W jutrzenkę złotą!“

Widzieliśmy z całego szeregu utworów, że myśl przewodnią, która służy jako kanwa dla twórczego talentu Konopnickiej, stanowi to wielkie, przerażające swymi rozmiarami morze łez ludzkich i niedoli ludzkiej, płynące z niesprawiedliwych i krzywdzących stosunków społecznych. Widzieliśmy, że w poezyach jej nie brak głębokiego, sercowego współczucia, niemal współcierpienia z losami drugich. Jako miłująca prawdziwie swój naród, jako prawdziwa patryotka, pragnie, by te ciemne masy, które są przecież podstawą i jądrem jego, miały otwarte wejście do skarbów kultury i cywilizacyi narodowej, by stały się uczestnikami i współpracownikami w tem wszystkiem, co ten naród stwarza wielkiego, wzniosłego i nieśmiertelnego. A to stać się może dopiero wówczas, gdy obecne, na niesprawiedliwości oparte, stosunki społeczne ulegną gruntownej zmianie. — Ale Konopnicka nie zacieśnia swoich dążeń, poglądów, myśli w ramy pewnych programów lub reguł. Stronnictwa i obozy dla niej nie istnieją. Ona widzi przed sobą tylko dwie kategorye ludzi: jedni, to zimne, lodowe serca, potworni czciciele żołądka i złota, drudzy, to nędzne, głodem, chorobą i zbrodnią trapione miliony. To też mówi:

„Samotna idę wśród nocy tą drogą
Którą łez ludzkich wskazują mi ślady,
Ale o hasło nie pytam nikogo!
. . . .
W prawo i w lewo odrębne dwa światy,
Lecz droga moja ni w lewo ni w prawo.
Idę, gdzie ziemia pustą jest i łzawą,
Gdzie jęczą ludzie skrzywdzeni i smutni.
I od nich to się uczą być smutnemi
Westchnienia piersią płynące z mej lutni“.

Bo też nie można żądać od poety, od ducha swobodnego, przywykłego tam ulatać, gdzie tylko myśl ludzka zdolna się wspiąć na skrzydłach duszy — stosowania się do ściśle wyznaczonych form, chociażby one były wyrazem najwznioślejszych dążeń realnych. Zamknięte, przepisane koło działania łamie zapał, unicestwia twórczość poetycką. A o ile umysły więcej ścisłe, włożone do systematycznej pracy mogą tu oddać wielkie usługi — o tyle poeta, wogóle duch twórczy nie jest zdolny do tego rodzaju pracy. Spiritus flat, ubi vult, a drogi jego tak różne i tak dalekie, jak niewyczerpaną i niezbadaną jest dusza człowieka w dążeniu do absolutnego ideału dobra, piękna i prawdy. Nie wynika z tego lekceważenie dla idei, lecz przeciwnie jest to wyższe pojęcie jej i wznioślejsze ukochanie. I tak tę ideę społeczną pojęła i ukochała Konopnicka.

S. O.

O organizacyi *).

(Dyalog.)

I. Stowarzyszenie! Kółko! — Ja ciebie nie rozumiem! Masz przecie swoje indywidualne zdanie, ktorego bronisz! Wiem, że kiedyś czytał „Trylogię“ Sienkiewicza, wzdychałeś wciąż do starych, dobrych czasów, kiedy na każdem polu życia człowiek tak indywidualnie mógł działać, podczas gdy dzisiaj wszystko staje się manierą, jednostki są czopkami bez czucia, manekinami nakręconymi.

II. Ależ prawda! jednakże mimo to...

I. Zaczekaj, aż skończę to, com chciał powiedzieć. — A więc skarżysz się na brak indywidualności w dzisiejszych czasach i jednocześnie niszczysz swą własną indywidualność, pętasz swą własną wolę, wstępując do jakiegoś tam Kółka.

II. Ależ ja swojej indywidualności wcale przez to nie tracę, owszem, uwydatniam ją, bo mam sposobność i prawo swoje zdanie przedstawić, podać wniosek całkiem oryginalny i indywidualny!

I. Cóż ci z tego przyjdzie, że wniosek podasz, jeżeli z nim przepadniesz!

II. Jeżeli mój wniosek upadnie, natenczas powstaje pytanie: czy upadł słusznie, czy niesłusznie? czy został pobity przez lepsze zdanie, czy tylko przez większość głosów? W pierwszym razie poddaję się bez żadnej niechęci, bo przecie uważam siebie za człowieka rozsądnego, a zaś człowiek rozsądny nie może być zacietrzewionym fanatykiem. W drugim razie są znowu dwa wypadki możliwe: albo rzecz jest małej wagi i nie narusza ogólnego kierunku, przewodniej idei naszego związku: wtedy *pro publico bono* zrzekam się swojej dumy osobistej i poddaję się opinii całości; albo rzecz narusza zasady, których się towarzystwo miało trzymać: w takim razie wolno mi każdej chwili wystąpić.

I. I zostaniesz jednostką, a będąc człowiekiem czynu, wystąpisz jako jednostka przeciw wielości, która będzie innego zdania; a zatem będziesz działał indywidualnie, tak, jak ja sobie indywidualność przedstawiam!

II. Nie! będę się mógł połączyć z innymi, którzy moje zdanie podzielą. Nie

*) W celu uniknięcia nieporozumień, zaznaczamy raz jeszcze, żeśmy artykuł Motora „Niepewność organizacyi“ umieścili nie dlatego, abyśmy na jego poglądy zupełnie się godzili, lecz dla wywołania w tej sprawie dyskusyi. „Promień“, jak słusznie podnosi kol. Lithuanus, stale głosił potrzebę organizacyi młodzieży. Chodzi tylko o dokładne wyjaśnienie, jaka jest granica pożytku organizacyi, jakie organizacya postawić sobie winna zadania, w jaki sposób może działać najsprawniej i najkorzystniej. Zauważymy wreszcie, że kolega Motor nie mówił o organizacyi wogóle, lecz jedynie i wyłącznie o organizacyi młodzieży szkolnej. W sprawie tej zabierzemy jeszcze głos.
(Redakcya.)

wolno nam być przecie tak zarozumiałymi, żebyśmy przypuszczali, że sami tylko prawdę posiadamy!

I. No! ja wiem — ale mimo wszystkie twoje argumenta krew się we mnie burzy na myśl, żebym się miał poddać pod czyjeś rozkazy! Do czegoż my, jako naród, jako społeczeństwo dążymy? — przecie do tego właśnie, ażeby się wydobyć z pod obcych rozkazów! Tego żądamy, jako członkowie narodu — a jako ludzie pojedyńczy mamy się trzymać innych zasad?

II. Mój kochany! unosisz się i tracisz miarę w ocenianiu rzeczy. Mówisz o władzach w Kółkach, stowarzyszeniach, jakby o najcięższej moskiewskiej lub nie wiem jakiej niewoli. Tymczasem w związkach dobrowolnych ma prezes albo wydział tylko władzę wykonawczą zazwyczaj; sam decyduje tylko w sprawach podrzędnych! Więc o jakichś rozkazach nie ma żadnego powodu mówić, bo ich faktycznie nie ma! — A potem! Mówiłeś, że jako naród dążymy do jakiegoś celu. Jakże się to dążenie może skutecznie bez organizacyi odbywać?

I. Wielkość idei powinna starczyć za organizacyę, porwać wszystkich do pracy nad jej urzeczywistnieniem!

II. Pewnie! powinna — ale od tego do rzeczywistości jeszcze daleko. Ludzie nie są aniołami! Ale, dajmy na to — ogromna większość, prawie wszyscy, wszyscy przejmują się tą ideą, pracują dla niej...

I. A więc przypuszczasz, żeby to mogło być w danym razie możliwem?

II. Mniejsza teraz o to! Zobaczysz, że gdyby to się nawet stało, jeszczeby nie wystarczyło!

I. Jakto?

II. Rzecz bardzo prosta. Ludzie są indywidualni. Indywidualność ty przed wszystkiem innem akcentujesz i uznajesz. Każda indywidualność w inny sposób przejawia swą energię na zewnątrz, w inny sposób myśli, w inny sposób działa. A więc, dajmy na to, w razie jakiego ruchu narodowego, jeden uzna za stosowne najpierw cara zgładzić; drugi przyjdzie do przekonania, że trzeba w kraju wroga samego niepokój w masach obudzić: trzeci zechce powstanie wzniecić w Warszawie, a potem działać odśrodkowo: czwarty powie, że trzeba rozpocząć akcyę właśnie od granic kraju i posuwać się następnie w głąb: piąty postanowi zebrać flotę i blokować Petersburg; szósty... czy ja zresztą wiem, co szósty zechce zrobić! Ale każdy będzie działał indywidualnie tak jak mu jego własne doświadczenie radzi. A skutek będzie jaki? Jednego powieszą w drodze do Petersburga, drugiego na granicy przydybią z bronią w ręku — więc go rozstrzelają — i tak dalej! Każdy będzie na własną rękę działał i na własną rękę zginie, bo mu nikt pomocy nie przyniesie, bo nawet wiedzieć nie będzie, że mu jej trzeba!

I. No, dobrze! wreszcie może i prawda! Ale czy cię to nie zastanowiło, że inni, starsi stoją po mojej stronie?

II. Przykłady!

I. Naprzykład „Promień“ w końcu artykułu „Niepewność organizacyi“, albo w urywkach o „Wojsku krakowskiem“.

II. Coś to mi pachnie owem sławnem „*jurare in verba magistri!*“ Ale mniejsza o to! „Promień“ owszem przeciwne głosi zasady: od pierwszego numeru począwszy, wzywa do organizacyi.

I. Prawda! ale i to, com ja powiedział, było tam czarno na białem drukowane. Gdzie wyjście? Poczekaj no! Rewolucya francuska była przecie ruchem elementarnym, tam nie było organizacyi!

II. Gdzie tam! — a klub Jakobinów? a Robespierre? a Danton? Marat? tylu innych naczelników?

I. To były narzędzia tłumu! — A przed znaczeniem Rewolucyi francuskiej przecież ugniesz kark? Nowe poglądy, nowe prądy społeczne...

II. Za pozwoleniem! Narzędzia tłumu — przypomina to bardzo władze wykonawcze...

I. Więc ty żądasz wszędzie i zawsze organizacyi, pedantycznej organizacyi?

II. Tak jest! Bo organizacya każda jest systemem, porządkiem, prawem, a świat cały na prawach stoi!

I. Więc dla ciebie k a ż d a organizacya jest lepsza, niż...

II. Może być...

I. Więc jesteśmy zdecydowanymi wrogami! Stoimy na dwu przeciwnych biegunach! Ja z otwartą maską rzucam wam wiecznej walki rękawicę!
„Bądź zdrów! — A tak się żegnają nie [wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych [bogi!...

III. Cha! cha! cha! cha!

I. i II. On się śmieje? on tu był, podsłuchał? To nic! niech i słyszy! — Ale z czego ty się śmiejesz?...

III. Ano! z was, moi panowie!

I. i II. Z nas!?..

III. Z was — lub raczej z waszej gorącej dysputy! — Oznajmiają z początku, że są rozsądnymi ludźmi i zacietrzewiają się, jak — no! jak cietrzewie! Zaczynają od dysputy o kółkach studenckich: jeden twierdzi, że ma sztywny kark i rozkazów słuchać nie lubi — drugi, że zasadniczo trzeba do osiągnięcia wspólnych celów organizacyi jakiejś — a kończą wzajemnem wyzwaniem: jeden jako anarchista, drugi... ta! nieledwie niby jako poplecznik caratu! — No, ale trzeba was jakoś pogodzić, boby z tego mogła wyniknąć bratobójcza walka, pojedynek... śmierć jednego... drugiego, albo obu! — a szkodaby was było! i przytem grzech, obraza Boska! Cha! cha! cha! — Jakże nie zgodzilibyście się? Ale prawda: do zgody nagiąć, „skłonić“ się potrzeba, jak mówi Mickiewicz, a z was jeden ma sztywny kark, jak sam oświadczył, a drugi, chodząc w złotym carskim kołnierzu, też nie bardzo. .

I. i II. Nie drwij!...

III. A więc dosyć tego! Przystąpmy do rzeczy! Jeden i drugi ma racyę. Jeden dlatego, że organizacyi trzeba, a drugi dlatego, że jej nie trzeba. Jeden i drugi nie ma racyi: jeden, bo organizacyi tylko tam trzeba, gdzie jej trzeba: a drugi, bo organizacyi tam nie trzeba, gdzie jest zbyteczna. — Może mnie nie rozumiecie? Więc dam przykłady. W Poznańskiem nie wykładają w szkołach ani języka, ani literatury polskiej, szkoły są hakatystyczne: otóż tam potrzebne są organizacye, nawet tajne organizacye, mające na celu kształcenie się młodzieży szkolnej w macierzystym języku, w historyi kraju rodzinnego, podnoszenie ducha, wskazywanie dróg pracy narodowej. Oni tam tego publicznie nie dostają, prywatnie często z różnych powodów też dostać nie mogą, a więc **p o w i n n i** się chwycić tworzenia kółek, które rozporządzając większymi środkami, mogą więcej jednostkom do nich należącym dać. Mało sensu by miało **p o d o b n e** stowarzyszenie w Galicyi! Można tworzyć inne! Na Śląsku było stowarzyszenie akademików, mające na celu urządzanie zabaw narodowych-ludowych, wieczorków Mickiewiczowskich po wsiach i t. d. Dziś, co prawda, te punkta ze statutu wykreślono, także pozostało tylko postanowienie, że członkowie cztery razy do roku, o ile można, mają się zjeżdżać dla wspólnej pogadanki i pokrzepienia swego patryotyzmu! Przez to uszczuplenie programu traci ono, mojem zdaniem, prawie całkowicie swe znaczenie, nawet swój sens, bo krzepić się patryotycznie każdy z nich ma sposobność przy wielu innych okolicznościach, jeżeli zechce. Można więc tworzyć komitety do zbierania pieniędzy na cele narodowe; stowarzyszenia dla uświadamiania mas, dla własnej nauki, gdzie tego trzeba. Wogóle Kółka tworzyć należy tylko wtenczas, jeśli tego trzeba koniecznie, aby nie nabierać na siebie zbytniego balastu i przez przeciążenie nie wywołać znużenia i zniechęcenia. Ale jeśli cel odpowiedniej doniosłości mamy, **p o w i n n i ś m y** w danym razie tworzyć związek, bo tylko przez organizacyę możemy osiągnąć to, do czego naród dąży, wrogom zorganizowanym musimy przeciwstawić organizacyę! Zresztą musimy zważyć i to, że organizacya dopiero robi z mas **o r g a n i z m**, jestestwo żyjące, zdolne do rozwoju. Niezorganizowana, zatem nieorganiczna masa jest niby skała, która, jeśli się oberwie ze szczytu gór, toczy się wskutek siły bezwładności i niszczy wszystko, co w drogę wejdzie (nota bene: bez różnicy!), aż gdzieś trzaśnie o inny złom i rozpryśnie się w kęsy! Z rozbitych kawałków fabrykują później kamienie młyńskie, które mielą kaszę dla „zjadaczów chleba“. Taki jest potem koniec piosenki!

Lithuanus.

O „Promieniu“.

Szanowni Koledzy!*) Celem dzisiejszego zebrania jest, między innemi, uzyskanie zapomogi dla organu naszej młodzieży szkolnej, wydawanego w Galicyi pod tytułem „Promień“.

Ponieważ pisemko to, z powodów łatwo zrozumiałych nie może mieć u nas szerokiego rozpowszechnienia i wielu z obecnych zapewne po raz pierwszy dowiaduje się o istnieniu takiego wydawnictwa, chcę więc chociaż powierzchownie zapoznać Szanownych Kolegów z kierunkiem „Promienia“, tudzież uzasadnić potrzebę pisma tego rodzaju.

Myśl wydawania pisma, poświęconego sprawom uczącej się młodzieży, powstała wśród studentów politechniki lwowskiej.

Po zebraniu odpowiedniego funduszu, co, mówiąc nawiasem, szło bardzo opornie, „Promień“ zaczął wychodzić jako miesięcznik we Lwowie w lutym bieżącego roku. Dotychczas redaktorowie-wydawcy przy udziale bezinteresownych współpracowników dają sobie radę, dalsze jednak istnienie pisma zależne jest od dobrej woli współczujących sprawie rozwoju umysłowego młodzieży polskiej.

Wydając pierwszy numer pisma, akademicy lwowscy w artykule wstępnym ogłosili program. Ponieważ program ten zaznajamia nas z kierunkiem pisemka, pozwolę go sobie odczytać.

. . . .

Takie jest zadanie wydawców, cel piękny i niezmiernie doniosły w skutkach na przyszłość, a jednak wszystkie pisma klerykalno-stańczykowskie i niektóre gazety „demokratyczne“ niechętnie, lub nawet z oburzeniem przyjęły ukazanie się „Promienia“. Posypał się szereg zarzutów, dziwacznych obaw i podejrzeń o jakieś cele ukryte, o jakieś kierunki szkodliwe i wpływy rozkładowe. Przysłowie mówi: „kto się uniewinnia, ten się oskarża“. Takie też może wrażenie wynieśliby słuchacze, gdybym przytaczając zdanie nieprzychylne „Promieniowi“, jednocześnie usiłował je zwalczyć.

Rzecz każda sama o sobie wydaje świadectwo.

Opracowując odczyt niniejszy, miałem przed sobą dowód jawny, czarno na białem wykazujący, jak dalece podejrzenia naszych wsteczników były nieuzasadnione, a obawy co najmniej przedwczesne.

Dowodem tym jest treść wydanych w roku bieżącym 12-tu numerów „Promienia“.

Przez cały ten czas młodzi redaktorowie pozostali wierni zasadom, wygłoszonym w programie. Jako organ młodzieży szkolnej „Promień“ zwraca pilną uwagę na sprawy młodzieży tej dotyczące — pisze o rozporządzeniach rady szkolnej, o zmianach w przepisach, o pracach ankiety, obradującej nad reformą szkoły średniej i t. p.

Dalej spotykamy się z artykułami, omawiającemi potrzebę organizowania się młodzieży w celu przysposobienia się do przyszłej pracy obywatelskiej. Jednocześnie redakcya umieszcza bardzo dobrze pomyślany program samokształcenia, oparty głównie na naukach przyrodniczych, a polecając dzieła beletrystyczne, wymienia szereg powieści wybitniejszych autorek i autorów polskich z podziałem na grupy odpowiednio do charakteru zagadnień, które powieściopisarze w utworach swoich poruszają. W sprawach ogólnych młode pismo walczy przeciw specyficznie galicyjskiemu krzykliwemu szowinizmowi, a nawołuje nieustannie do walki z germanizacyą i rusyfikacyą. Budzi cześć i poszanowanie dla minionych bojów tytanicznych o niepodległość, wyróżniając szczególniej rok 63, jako najbliższą nas chwilę ostatniej dotychczas rozprawy z najazdem. W tym celu drukuje powieści z owych czasów, opowiadania trochę fantastyczne, lecz nacechowane niezmierną miłością ojczyzny, pełne zachęcającego podziwu dla olbrzymich poświęceń uczestników ruchu. Z kart pisemka przegląda wyraźnie, że nie jakieś idee abstrakcyjne nadają mu ten kierunek, lecz szczere przeświadczenie o potrzebie pracy w celu ulżenia doli szarego tłumu pracowników, dla którego niezależność polityczna powinna być chwilą wyzwolenia z ucisku ekonomicznego. Wpajanie więc w serca młode szacunku dla ludu i robotników jest także celem „Promienia“, a hasłem: „przez nich i dla nich“.

Omawiając stosunki galicyjskie, „Promień“ niejednokrotnie wykazuje potrzebę wzajemnego porozumienia się Polaków i Rusinów. W tym celu miano nawet zamiar wydawać równoległe pismo w języku rusińskim, lecz brak funduszów przeszkadza dotąd urzeczywistnieniu tego,

*) Odczyt ten wygłoszono na zebraniu w jednem z miast ukraińskich. *(Red).*

zasługującego na gorące poparcie projektu *). Natomiast umieszczono w oryginale kilka wierszy Szewczenki, krótki życiorys wielkiego małoruskiego poety i artykuł o literaturze ukraińsko-ruskiej.

Wobec nurtujących w społeczeństwie galicyjskiem prądów antysemickich „Promień" wrogie zajął stanowisko, potępiając jednak i syonizm jako objaw sztuczny, nie odpowiadający potrzebom mas. Kierownicy pisma nie są zwolennikami narzuconej asymilacyi, nie ukrywają jednak sympatyi dla żydów, poczuwających się do obowiązków względem przybranej ojczyzny.

Oto jest mniej więcej ogólny charakter artykułów treści naukowej i społecznej, beletrystyki, poezyi i drobnych opracowań, umieszczonych w „Promieniu" w roku bieżącym. Każdy bezstronny przyzna, że redaktorowie w niczem nie odstąpili od ogłoszonego przy rozpoczęciu wydawnictwa programu.

Dziwnem więc na pozór wydaje się zacofanie i zaślepienie stańczyków i idących z nimi ręka w rękę pseudo-demokratów galicyjskich, potępiających każde niezależne wystąpienie. Takie jednak wrogie usposobienie jest naturalnem następstwem polityki naszych kół, klubów i innych powołanych i niepowołanych kierowników skołatanej nawy polskiej, polityki hołdującej bezwzględnie zasadzie, „laisser faire" i posuwającej się do służalczej uniżoności przed obcymi. Po upadku powstania styczniowego zaczęły się podnosić głosy w prasie zakordonowej przeciw wszelkim konspiracyom nawet w najdalszej przyszłości. Głosy te, zrazu nieśmiałe, zaczęły pozyskiwać stronników i znalazły wyraźne określenie w ogłoszonej przed laty kilkunastu „Tece stańczyka", w rozprawie politycznej prof. Tarnowskiego: „Z doświadczeń i rozmyślań" i w publicystycznych zwierzeniach Popiela. Poglądy te do dziś podziela w Galicyi większa część sfer uprzywilejowanych, zamożne mieszczaństwo i cała zależna od nich klika.

W zaborze rosyjskim z łona biernej opozycyi, to jest niezorganizowanej partyi bezczynnego oporu wyszli ugodowcy. Partya ta, poświęcając dla marnych korzyści najżywotniejsze interesy narodu, doprowadziła do uroczystych przyjęć cara w Warszawie, a raczej do uroczystego poniżenia w oczach świata całego. I kiedy zwrot ugodowy zdawał się święcić niespodziewane tryumfy, kiedy najzawziętsi szowiniści zachwieli się, zaprotestowała tylko jedna z najbardziej postępowych partyi naszych. (Polska Partya Socyal.) Zawód, co do spodziewanych ustępstw, następnie zaś wydanie memoryału ks. Imeretyńskiego, zadały cios ugodowcom. Wobec jednak przewagi sympatyzujących z ugodowcami stańczyków i wobec niezaprzeczonego istnienia prądu ugodowego wśród wyższych i średnich warstw społeczeństwa, powinniśmy wszelkich dołożyć starań do zwalczenia tego szkodliwego kierunku. Przedewszystkiem jednak powinniśmy się starać, ażeby fale tego prądu nie zalały przyszłych zastępów bojowników naszych, t. j. dorastającej młodzieży. Przeciwnicy w organach swoich, mających duże powodzenie, sączą do serc młodych truciznę obojętności i zwątpienia. Skutecznem więc antidotum może być pismo dla młodzieży, redagowane w duchu narodowym z uwzględnieniem ogólno-ludzkich ideałów społecznych, a takiem jest bezwarunkowo „Promień". Stwierdzone są powszechnie wpływy prasy, a o ileż więcej takim wpływom podlegają umysły młode. Każdą myśl głębszą, podaną do wiadomości szerszego ogółu za pomocą pisma, można porównać do skutku, jaki wywiera poruszenie powierzchni wody. Coraz to szersze i szersze powstają kręgi i po upływie pewnego czasu spokojną przed chwilą toń jeziora czy stawu pokrywają fale, o wielkości i sile zależnej od przyczyny, która je wywołała. My zaś w sprawach, najbliżej nas obchodzących, za mało dotąd ocenialiśmy znaczenie wpływów tego rodzaju. Wśród ciężkich warunków, wśród nieustannych wrogich zamachów na najświętsze uczucia wzrasta i wychowuje się młodzież nasza! Mówi się zwykle: „młodzież powinna myśleć tylko o nauce". Zdanie to wygłasza się nie tylko co do uczniów gimnazyum, lecz i co do studentów.

Owo myślenie tylko o nauce jest raczej zachętą i podnietą do zrobienia karyery. Karyera jest to robak, toczący większą część młodzieży naszej. Gimnazyum i Uniwersytet, czyli tak zwane wyższe wykształcenie, służy dziś wyłącznie do pozyskania dobrego stanowiska. Chcielibyśmy mieć dobrych obywateli kraju, a sprzeciwiamy się udziałowi młodzieży w życiu społecznem. Czy nauka gimnazyalna ma

*) Mieliśmy istotnie zamiar wydawania przy „Promieniu" dodatku w języku ruskim. Obecnie jest to już niepotrzebne wobec istnienia „Młodej Ukrainy" zob. Bibl. *(Red.)*

rozwidnić umysły młodzieży naszej? Znamy przecież wszyscy nicość i bezużyteczność tej nauki.... Czy rozwiną umysł języki starożytne, przy obecnie praktykowanym wykładzie, lub może historya tendencyjnie fałszowana dla celów niemających z wiedzą najmniejszego związku? Wyobraźmy sobie młodzieńca, postępującego zgodnie z życzeniem większej części wychowawców. Przeszedłszy wedle wyżej wymienionego programu kurs nauk gimnazyalnych, młody Polak wstępuje do uniwersytetu. Tu studyuje jakąś gałęź specyalną, unikając pilnie wszystkiego, co niema ścisłego związku z obranym zawodem. Po ukończeniu zaś uniwersytetu, staje się dopiero obywatelem kraju, mającym prawo rozstrzygać kwestye społeczne. Lecz cóż ten obywatel pocznie, jak da sobie radę, on, który najmniejszego pojęcia o swojem stanowisku w społeczeństwie nie ma, który nie słyszał nigdy o obowiązkach względem tego społeczeństwa, bo mówiono mu wyłącznie o potrzebie nauki w celu zrobienia karyery. Nie miał on nigdy chwil młodocianego zapału, przed oczami jego duszy nie stawał nigdy szereg zagadnień społecznych, nie szukał dróg dla ich rozstrzygnięcia, — dlatego też w osobie jego przybywa tylko jeden więcej pasorzyt, jedna więcej pretensya do dobrobytu kosztem ciemnych i uciśnionych współbraci. Wszelką więc dążność do rozbudzenia poczucia obowiązku trzeba popierać słowem i czynem, wpływem moralnym i pomocą materyalną. Popierajmy „Promień“ i wszelkie wydawnictwa tego rodzaju, bo dążą one do rozbudzenia i uobywatelenia młodzieży naszej.

Wspomnijmy słowa Mickiewicza: zwycięztwo prawdy i sprawiedliwości „młodość pocznie na swojem łonie“ i chociaż chwila ta nie jest jeszcze blizka, chociaż „w krajach ludzkości jeszcze noc głucha“, jednak nie ustawajmy w pracy, a może już następne pokolenie słowami wielkiego wieszcza naszego zawoła:

„Witaj jutrzenko swobody
„Zbawienia za Tobą słońce!

Wołyniak.

Władysław Orkan.

W ubiegłym miesiącu bawił przez kilka dni we Lwowie zaszczytnie nam znany nowelista i poeta Władysław Orkan. Na odczycie, urządzonym staraniem Tow. „Zjednoczenie“ na rzecz sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego, p. Orkan odczytał jeden akt ze swego najnowszego dramatu: „Skapany świat“ i pierwszy rozdział na dokończeniu będącej powieści: „W roztokach“. Na odczyt zjawiła się bardzo liczna publiczność, pomimo sezonu tańców i ślizgawek. Wrażenie wielkie, gratulacyom nie było końca. Tyle co do odczytu. Treść w ogólnym zarysie podały już pisma codzienne i ja nie myślę zapuszczać się w krytykę, podaję tylko za zezwoleniem autora wstęp do powieści „W roztokach“:

„Naprzeciw Tatr, między doliną nowotarską a wężowatą kotliną Raby wspięło się gniazdo dzikich Gorców. Od romantycznych Pienin odciął je wartki, kamienicki potok, a od spiskiej krainy odgraniczył je falami bystry Dunajec.

Samotnie stoją nad wzgórzami; a wyżej jeszcze nosi głowę ociec ich rodu: zasępiony Turbacz. Niewiadomo, kto go chrzcił i skąd mu to miano. Może stąd, że turbanem mgły przed deszczem owija łysą głowę, albo raczej, że widywano go zawsze w turbacyi wiecznej. Podle się z nim losy zaobeszły, dając mu zwykłą dumę wierchów i nadszczytów, a nie dając ich wielkości nadchmurnej Otoczyły go jeszcze tłumem bliźniąt, śród których maleje do znaku i zdaje się być zwykłą górą. A przecież coś mu się śni, że przed potopem inaczej było — coś mu się śni.

Z zazdrością patrzy, jak w słoneczne południe garbaty Krywach do Łomnicy się śmieje, a ona — zalotnica! — rada go widzi. Daremnie się podnosi, by jej spojrzeć w oczy — ona hań grzeje czoło wysoko... z zazdrości też umizga się o zachodzie do Babiej góry. Widzi, jak opuszczona wdowa płoni się i czerwienieje i radaby się przychylić ku niemu, gdyby nie patrzeli na nią ze wszystkich stron. Stary Turbacz mści się za małość swoją na wierchach Tatr, zasłaniając im czołem widok na wawelskie grodzisko. Zazdrosnem uchem łowi grające dźwięki Zygmunta i zasępia się w przeszłości dalekiej. Coś mu się śni, że drzewiej dzwony inaczej grały — coś mu się śni...

Ho! drzewiej! drzewiej!... Nasłuchał się Turbacz trąb wojennych — jeszcze

mu do dziś dnia powietrzem grają, kiedy ociec wiatru, wiatr halny przyjdzie w odwiedziny. On je pamięta dobrze. Było to wtedy, kiedy stary Turbacz synom sprawiał wesele, kiedy Turbaczyk pojął Kopę, a Obidowiec zapatrzył się nań i sięgnął po Obidowę. Wiatr muzykę sprowadził — niedźwiedzie tańczyły — a po Groniach paliły się ogniste wici...

Byli tu goście, jakich już potem nie widywano — olbrzymy o płonących głowach — byli ludzie!...“

Przy tej sposobności chciałbym dorzucić parę słów do tego, co już o Orkanie pisano i piszą. Chciałbym rzucić trochę światła na jedną stronę duszy poety.

Gdy czyta się Orkana, każdego uderzyć musi dziwnie rzewny dźwięk, który brzmi we wszystkich jego utworach. W powieści i nowelach, w dramacie, w wierszach ulotnych, sonetach, czy opisuje ludzi, czy naturę, czy czerpie motywa z ludu, czy z innych sfer, wszędzie daje się odczuć głęboki smutek, jakiś żałosny, jednak nie beznadziejny ból duszy.

Orkan — to dziecię gór, owych dzikich gorców, które tak wzniośle opisuje. Pierwsze lata młodości prześnił na kwiecistych łąkach i polankach w roztokach górskich. — Juhaska piszczałka, śpiewy pasterek, huk spadających siklaw, szum świerków i jodeł, granie wichrów — nastrajały jego ucho, napawały młodą duszę — a wiatry grały wtedy tak cudnie, jak cudną i piękną była wiosna życia.

Jak setki młodzieży z tych okolic i całego Podhala, młody Orkan udaje się do szkół średnich do Krakowa.

Młodzież ta, jak wogóle młodzież wychodząca z ludu, przechodzi podczas studyów prawdziwe męczarnie. Worek ziemniaków na rok, od czasu do czasu faska masła, 3 do 5 zł. miesięcznie — to wszystko co może posłać góral i to bogatszy, z wielkim uszczerbkiem dla reszty rodzeństwa, na całe utrzymanie syna w szkołach. Większa część tych studentów i bez takiego wsparcia obejść się musi.

Wieczne szukanie zajęcia o próżnym żołądku, w lichej odzieży, w butach zawsze ziewających, mieszkanie po wilgotnych norach, wszystkie te i tym podobne okrasy życia, życia dla nauki, przechodzić musi chłopak wyrwany, jak świerk, z łona natury i przesadzony na grunt miejski i to zaraz od pierwszej chwili. Takiego życia w znacznym stopniu zakosztował i młody Orkan.

Nic też dziwnego, że jedna część z tej młodzieży po roku, po dwu latach takich utrapień wraca napowrót, bardzo często z zarazkami suchot, do swojej biedy, biedki kochanej, — wielu po paru latach kończą karyerę w wojsku lub w rozmaitych biurach, jako dyurniści, — bardzo wielu przeradza się w natury płaskie i służalcze za kawałek chleba lub protekcyi, zawracając ludziom głowę, że czuje powołanie do stanu duchownego; — reszta dosyć szczupła, silniejsze natury, które z całem zaparciem się, gwałtem, wysiliwszy całą swoją energię, przebiją ten twardy okres studyów, zaczynają odczuwać brak tej endrgii wtedy, kiedy jej najbardziej potrzeba i żyją zazwyczaj niezadowolone nieubłaganą koniecznością życia.

Taka przyszłość nie uśmiechała się marzącej duszy Orkana.

W szkołach średnich był znany, jako uczeń zdolny. Czytał, prawie nerwowo, wszystko, co mu tylko wpadło do rąk, i już bardzo wcześnie zaczął pisać. Pisać — oczywiście wiersze. Wiersze te, pierwsze przebłyski talentu, spływały mu z pióra, jak potoki górskie umajone kwieciem, pełne szumu, dźwięku, muzyki. Często, zerwawszy się w nocy, spisywał bez przekreślań po kilka arkuszy. Brakowało tylko jeszcze głębszej myśli.

Nie wiem, czy obecnie taki sam duch panuje w średnich szkołach, ale wówczas, jeżeli poznano u sztubaka jakiś umysł twórczy, zwłaszcza zachcianki poetyckie, sami profesorowie wyrażali się o takim uczniu z przekąsem, z pewnem zastrzeżeniem, a nawet z pewną dozą podejrzenia o patryotyzm, rewolucyjność, lub, co nie daj Boże, socyalizm. A poparciem dla takiego kiełkującego talentu był zazwyczaj ściślejszy nadzór, ściślejsze wymaganie rzeczy obciążających pamięć, a więc dat, formułek gramatycznych i nie mających nic wspólnego z gramatyką, recytacyi całych ustępów i t. p.

Nie uniknął takiego poparcia i Orkan — może także dlatego, że, ogólnie lubiany

przez kolegów, z ogromnym zapałem brał żywy udział we wszystkich zebraniach. Nie było śród kolegów kółka, którego by duszą nie był Orkan.

Nic też dziwnego, że uczeń o wybitnych zdolnościach, jednak w przykrem położeniu materyalnem, a do tego napotykając takie poparcie ze strony swych duchowych przewodników, z natury ogromnie wrażliwy, zraził się tak do tego urzędowego kształcenia, że w klasie siódmej wystąpił, aby kształcić się tak, jak tego pragnęła jego poetyczna dusza.

Mimochodem nie mogę tutaj pominąć małej drobnostki, która może także przyczyniła się do tego stanowczego postanowienia Orkana. Mianowicie, jak wszystkich ludzi młodych, tak i jego nie ominęła w swym pochodzie bogini miłości i jego szczere chłopskie serce zraniła swą strzałą. Była to miłość, a raczej pieśń tej pierwszej promiennej miłości, patrzącej przez różowe szkła ideału. A ideał? – nerwowa blondyneczka, niezdolna pojąć uczuć czystej miłości, bez różowych szkiełek, realniej, niż dusza poety, patrzała na życie. I pewnie — stanowisko, stała posada, pensya, to najlepszy, niestety, na dziś argument w miłości.

Odtąd Orkan poświęca się stanowczo sztuce, pokochał tę panią całem sercem, a ona przygarnęła biedaka, bez złotego kołnierza, do którego nigdy nie czuł nabożeństwa, bez stałej posady, bez dyplomu doktorskiego, — nawet bez matury oficyalnej, przygarnęła go do siebie, jako swoje dziecię.

Odtąd wprost tendencyjnie nie chce budować sztucznych pomostów, któreby go kiedyś zbiegiem okoliczności mogły zaprowadzić na spokojne leże potulnego jegomości lub biurokraty. On chce być wolny, jak te dzikie gorce i niedostępne szczyty – wolny jak orły nad halami, woli skonać, jak ptak ze swoją pieśnią, ale wyśpiewać to, co czuje, co boli.

Odtąd oddaje się dalszemu samokształceniu w kierunku literackim i społecznym. Socyalizm według Orkana ma spełnić misyę Chrystusową na ziemi, a ideę tę i szczęście ludzkości sprowadzić mogą zmiany ekonomiczne, ale w łączności z moralnem i etycznem podniesieniem się narodów i to od najniższych warstw.

Pisze więc „Cienie z Podhala“, w których odsłania lud w rzeczywistych kolorach, a nie przez firankę sentymentalnej sielanki, lud z jego zaletami i wadami. Jak słusznie zauważyło ruskie czasopismo „Rusłan“, utwory Orkana tem właśnie różnią się od dotychczasowej literatury ludowej polskiej, że on pojął społeczne i klasowe położenie ludu.

Nie osiada jednakże na stałe śród tego ludu, jak to podały dzienniki, chyba może na starość. To jeszcze umysł młody, zbyt chciwy wiedzy. Przebywa przeważnie w Krakowie, bierze żywy udział w ruchu literackim. Przepłynął nawet przez powódź krakowskiego modernizmu, w której jednakże nie utonął, a która może mu posłużyła tylko za pewną maleńką kąpiel literacką. Wyjeżdża na pewien czas do Szwajcaryi, ale po krótkim pobycie zatęsknił za swemi ojczystemi górami i jałowcami — wraca i pisze. Pisze tą samą gwarą swego ludu, co w „Cieniach z Podhala“, ale podniesioną do literackich wyżyn, do artystycznej potęgi. Pełną dłonią artysty czerpie z tej skarbnicy, do której już dzisiaj sięgają pierwsze nasze siły literackie po natchnienie.

Ogromne współczucie dla nędzy i niedoli, której przyczyny pojmuje głęboko, odbija się tym rzewnym tonem jego utworów. Orkan czuje i płacze z przyrodą, a czuje tak głęboko, że nawet śmiech jego jakiś żałośny. Na widok wyniosłych gór, które dzisiaj nieludzka obdziera ręka, na widok ludzi, którzy się szarpią o biednego smreczka lub jałowca, na widok braci. którzy się zabijają o kawałek zaoranej miedzy — łzawi się oko poety... „Skapany świat“...

Tysiące śpiewek z Podhala, które, nawet dość obficie zebrane, ozdabiają archiwum jakiej biblioteki, jako zabytki etnologiczne, a które może nikogo bardzo nie zachwycały, — gdy którą Orkan pochwyci na swą lutnię, gdy Orkan zaśpiewa — serce się kraje.

Jednak ten ogromny smutek, ten żal i ból duszy nigdy nie przechodzi w rozpacz lub zwątpienie — przeciwnie jakieś ideowe przeświadczenie o świetlanej dobie dla

ludzkości, wiara w żywiołową potęgę ducha przyświeca poecie. Byli ludzie — byli, — ale z ich prochów muszą powstać ludzie nowi. Zahuczą posępne szczyty, zaszumią smreki i jodły, dźwigną się śpiący rycerze, rycerze ducha — zerwą się wichry i orkany i grać będą wielki hymn zbudzonej przyrody — hymn życia nowego. *A. Wirchoń.*

Ja im nie wierzę!...

Dokąd ja spieszę?... W szczęścia krainę,
Co mi się śmieje blaskiem jutrzenki...
Mówią coprawda ludzie, że zginę
Od rozczarowań żelaznej ręki —
Ja im nie wierzę!

Biegnę naprawiać świata budowę,
Nowego światła stawiać świeczniki...
Wprawdzie mi mówią: sny to różowe
I wnet się w chaos rozwieją dziki —
Ja im nie wierzę!

I chciałbym złotą podzielić dolę
Z aniołem jakim w ludzkiej postaci...
Mówią: Toć złamie skrzydła sokole,
Bo świat za miłość goryczą płaci —
Ja im nie wierzę!

I tak mnie wszędzie chłodnym uśmiechem
Witają dziwnej, cierpkiej ironii,
Wciąż się z szyderstwa spotykam echem
Wśród mego życia gorącej toni...
Ja im nie wierzę!...

Lith.

Odprawa „Tece".

Na zaczepki i napaści, których nam „Teka" („czasopismo, poświęcone sprawom młodzieży szkół średnich i wyższych") nie szczędziła, dotychczas nie odpowiadaliśmy. Zbyt wyraźnie przebijała z nich zawiść chudego konkurenta, któremu się „nie wiedzie" i który w środkach walki współzawodniczej nie przebiera. My jednak mogliśmy z lekceważącym uśmiechem poglądać na te łamańce polemiczne — i iść swoją drogą. Co ważniejsza, mieliśmy tyle zadań do spełnienia, tyle naglącej roboty, że polemika z „Teką" byłaby poprostu stratą drogiego czasu. Sądziliśmy, że stokroć ważniejszą jest rzeczą walka z reakcyą i klerykalizmem, niż z „Teką", która z a p o w i a d a ł a przynajmniej, iż będzie broniła sprawy postępu i demokracyi. „Teka" inaczej rozumiała swe zadanie i nie ulega wątpliwości, że daleko goręcej walczyła z nami, niż z wstecznictwem galicyjskiem. Na to można było wzruszać ramionami i podziwiać zmysł polityczny p.p. redaktorów — nie było wszakże koniecznej potrzeby odpowiadania na zaczepki.

Dziś milczenie przerywamy, po raz pierwszy i prawdopodobnie — ostatni.

Przedewszystkiem dlatego, że „Teka" wstąpiła obecnie w nowy okres rozwoju: przekształciła się mianowicie w organ młodzieży narodowo - demokratycznej, a więc przybrała barwę wybitnie partyjną. W artykule wstępnym numeru styczniowego „Teka" zwalcza nas w imię swego programu partyjnego. Nie są to już zatem luźne wycieczki, lecz zasadnicze wypowiedzenie wojny. Wobec tego — i na nas spada obowiązek określić raz na zawsze swój stosunek do „Teki" narodowo-demokratycznej. Prócz tego, wiemy, ile słuszności tkwi w zdaniu „Calomniez, calomniez toujours, il en restera quelque chose" (Spotwarzajcie, ciągle spotwarzajcie, coś z tego przylgnie). „Teka" widocznie trzyma się wygodnej tej maksymy, walczy oszczerstwami i insynuacyami — czas więc ją przygwoździć do własnej broni, aby każdy człowiek nieuprzedzony odrazu na jej wartości się poznał. To też, jakkolwiek czynność to nieprzyjemna, musimy rozprawić się z „Teką".

Same narodziny „Promienia" współzawodniczka nasza uważa za rzecz nielegalną i „nielojalną". „P r o m i e ń, powstały przed rokiem dzięki nielojalności, której nie chcemy nazywać właściwem mianem, kilku ludzi, zawezwanych przez nas do komitetu, mającego stworzyć Tekę...." Zobaczmyż, na czem „nielojalność" ta polegała. Już oddawna w Kółku naukowem Bratniej Pomocy Techników istniał projekt wydawania pisma dla młodzieży szkolnej. Zatem — niech wydawcy „Teki" nie sądzą, że dopiero w ich genijalnych mózgownicach

zrodziła się ta myśl epokowa. Prawdą jest, że do swego komitetu zaprosili z późniejszych redaktorów „Promienia“ kol. Wolskiego (nie „kilku ludzi“), ale ten odrazu pojął, z kim ma do czynienia. Zobaczył, że ludzie ci nie dorośli do swego zadania. że dobrą myśl tylko zwichnąć mogą i wykoślawić (nie omylił się!). To też wczas się wycofał i energicznie zakrzątał koło założenia pisma, lepiej odpowiadającego jego poglądom i potrzebom młodzieży postępowej.

Gdzież tu „nielojalność“? Czyż kolega Wolski przyjął wobec panów z „Teki“ jakieś zobowiązania, czyż składał im jakąś przysięgę na wierno ć? Czyż panowie ci uważają pismo dla młodzieży za swój opatentowany wynalazek? Co za śmieszne pretensye! Lub może zapatrują się na „Promień“ tak, jak Omar na bibliotekę aleksandryjską: albo zawiera to, co Koran - Teka, w takim razie jest niepotrzebny, albo zawiera coś innego, w takim razie należy go spalić. Fanatyzm partyjny „Teki“ łatwo ją może do takich wniosków doprowadzić. Wszak w tym samym N-rze rozpacza z powodu wiecu w sprawie Kaspra Wojnara: ponieważ na wiecu tym nie wszystko szło „po myśli“ „Czytelni Akademickiej“, na przewodniczącego wybrano prezesa „Zjednoczenia“ kol. Wyrostka, więc oczywiście — grozi koniec świata, a przynajmniej „zawieszenie wszystkich praw etyki“. „Teka“ ma pogląd na „nielojalność“ i „etykę“ fanatyków partyjnych. Niechże ten pogląd swój opatentuje, a ręczymy, że nikt go jej nie wydrze.

Co do naszej „nielojalności“, „Teka“ zadowoliła się insynuacyą, nie mówiąc czytelnikom, o co chodzi. Trafna to metoda: bo gdyby przedstawiła stan rzeczy zgodnie z prawdą. to nawet najnaiwniejszy „z młodzieży szkół średnich i wyższych“ zapytałby ze zdziwieniem: „Gdzie tu choćby cień nielojalności?“ Zawsze wygodniej rzucać podejrzenia i robić zarzuty — bez dowodów.

Przechodzimy do spraw zasadniczych. Oto cios niezawodny, cios w same piersi: jesteśmy socyalistami, jesteśmy „satelitami prasy socyalno - demokratycznej“! Po tym ciosie nie podniesiemy się już napewno w opinii ogółu. „Teka“ wzorowała się na dobrych przykładach: Si parva magnis componere licet (jeżeli wolno porównywać rzeczy małe z wielkiemi), postępowanie jej przypomina tych wsteczników, którzy, aby przeprowadzić swe plany, straszą społeczeństwo „widmem czerwonem“. Drżyjcie! Oto idą socyaliści, ci światoburcy, dla których niema nic świętego! Ale nawet w Galicyi polityka taka zaczyna zawodzić: zamiast się bać bezmyślnie, ludzie poczynają zastanawiać się nad socyalizmem, pojmować go, jako zjawisko konieczne, jako świadomy wyraz dążeń proletaryatu, jako odpowiedź na zło, trapiące ludzkość. Socyalizm przestaje być widmem, upiorem, a staje się, w pojęciu ludzi rozumnych, siłą pchającą społeczeństwo do koniecznych pszekształceń Tylko ludzie głupi lub źli wciąż widzą w socyalizmie zmorę, a w zarzucie „socyalizmu“ — broń zabójczą. Niedarmo galicyjskie pisma stańczykowskie szermują tem zarzutem przeciwko wszystkim swoim przeciwnikom, choćby ci byli zwykłymi liberałami lub ludowcami. Są to właśnie pisma głupie lub złe, abo raczej: i głupie, i złe. Czy do nich mamy i „Tekę“ zaliczyć?

Szanowni Panowie, bynajmniej nie wypieramy się sympatyi dla socyalizmu. Wychodzimy z założeń postępowych i demokratycznych: kto zaś szczerze zasady te wyznaje, ten musi żywić sympatyę dla socyalizmu. Bo socyalizm jest jedną z najpotężniejszych sił postępowych i demokratycznych, bo jest to idea szerokich mas ludowych, bo otwiera szerokie widnokręgi dobra i szczęścia. Kiedy w 1-szym N-rze „Promienia“ z r. ub. pisaliśmy o szerzeniu i podsycaniu „uczuć społecznych“, czyż myślicie łaskawi panowie, żeśmy chcieli ekskomunikować socyalizm, żeśmy uczucia te rozumieli tak ciasno, tak partyjnie, jak wy? Wy kwestyą społeczną wcale się nie zajmujecie — co do nas, przypisujemy jej olbrzymie znaczenie i będziemy z nią zaznajamiali czytelników. Rozdawania książeczek ludowych nie uważamy też za alfę i omegę działalności społecznej. My mamy ideały szersze, i donioślejsze.

Ale żywiąc szczerą sympatyę dla socyalizmu, nie stajemy mimo to na stanowisku socyalistycznem. Dlaczego? Dlatego,

że nie chcemy narzucać czytelnikom jakiegoś określonego programu, określonej doktryny. Budzimy myśl i uczucie, niech te się rozwijają i krzepną, a z czasem czytelnicy sami dojdą do tego lub owego określonego programu. Co do nas, przestrzegamy tego tylko, by pismo nasze było konsekwentnie i szczerze postępowo-demokratyczne; o ile artykuły tej myśli zasadniczej odpowiadają, mogą być socyalistyczne lub nie — my im bądź co bądź prawa obywatelstwa w „Promieniu“ nie odmówimy.

Oczywiście, zajmując takie stanowisko, nie możemy reprezentować tej lub owej organizacyi politycznej. Jesteśmy głęboko przekonani, że zadaniem młodzieży jest przygotowywanie się do służby obywatelskiej, nie zaś tworzenie partyi politycznej. O ile jednostki mają zupełnie już skrystalizowany pogląd społeczno-ekonomiczny, mogą do odpowiedniej partyi należeć. Ale my mamy na myśli młodzież jako całość, do tej się zwracamy, na nią oddziaływać chcemy. Zalecać jej określonej partyi nie będziemy; niech ją później sama wybierze. My chcemy tylko dać zdrową, pożywną karm duchową, aby młodzież zawczasu nauczyła się myśleć krytycznie i czuć gorąco. *My dajemy ogólne drogowskazy, nie zaś określone szematy partyjne.*

Inaczej „Teka“. Ta stała się pismem partyjnem, giermkiem „Przeglądu Wszechpolskiego“, albo raczej terminatorem u majstrów narodowo-demokratycznych. Jej to rzecz. My wszakże nie pójdziemy za tym przykładem: pozostaniemy pismem niezależnem, organem młodzieży postępowej, nie — partyi.

Wobec tego, chyba śmiech może budzić, kiedy „Teka“ zarzuca innym zaciekłość partyjną. Widocznie własny grzech, tak jaskrawo rzucający się w oczy, przypisać chce innym. Ten sposób polemiki przypomina złodzieja, który, aby odwrócić od siebie uwagę, biegnie z krzykiem: „Łapaj, trzymaj złodzieja“.

Nie będziemy tu oczywiście odpowiadali na zarzuty, które „Teka“ czyni polskiej partyi socyalistycznej. Zarzuty te nic nas nie wzruszają świadczą zresztą tylko o tem, że „Teka“ jest pojętną uczennicą stańczyków i klerykałów. Wiernie bowiem powtarza „za panią matką pacierz“ (finansowa zależność od wrogich narodowości, skrajny filosemityzm i t. d.) Szkoda jeszcze, że „Teka“ litanii nie wyczerpała: możnaby np. dodać, że socyaliści dążą do wspólności kobiet, do podzielenia majątków i t. d. Tego rodzaju zarzuty doskonale odpowiadałyby poziomowi pojęć „Teki“ o socyalizmie.

Natomiast z całem oburzeniem odeprzeć musimy nędzne oszczerstwo, zawarte w następującem zdaniu: (Promień) „uznaje się sam, co prawda, za organ wysoce patryotyczny, jest to jednakże jedynie środek pozyskania sobie prenumeratorów i popularności tylekroć, nierzadko w złej wierze używany i karygodnie nadużywany przez stronnictwa socyalistyczne we wszystkich zaborach“. Ten zarzut odsłania prawdziwe oblicze wasze, panowie z „Teki“, i pozwala zajrzeć aż na dno dusz waszych. Jesteście nieodrodnymi synami galicyjskich „mężów stanu“, galicyjskich wielkości, wszystkich tych panów, którzy — prawem kaduka — chcą przewodzić narodowi, rozdawać patenty na patryotyzm, zaliczać do kościoła prawowiernego lub — wyklinać. Macie wszystkie wady, mężom tym właściwe: ich ciasnotę umysłową, ich zarozumiałość ich sobkostwo, ich bezwzględność, ich pochopność do oszczerstw i podejrzeń. Młodzi jesteście — a postępujecie jak stare wygi polityczne; młodzi jesteście — a nie ma u was ani krzty młodzieńczej szczerości, ani krzty uczucia serdecznego, koleżeńskiego. młodzi jesteście — a rzucacie pismu, wydawanemu przez młodzież dla młodzieży, pismu, z którem możecie się nie zgadzać, lecz którego dobra wiara wyższa jest nad nizkie posądzenia — rzucacie „Promieniowi“ obelgę tak ciężką, obelgę, nad którą nie może być gorszej, obelgę bez żadnych dowodów; młodzi jesteście — a znieprawiliście się już w swojej starczej, ciasnej, zawistnej polityce.

Walczcie z nami, jeśli to wam przyjemność sprawia, krytykujcie, jeśli czujecie się na siłach — ale wara robić *takie* zarzuty, wara podejrzywać najświętsze uczucia nasze! Każdy, kto czytał „Promień“, wie, że *tak* nie piszą obłudnicy i spekulujący na prenumeratorów. Gdyby-

śmy uganiali się za prenumeratorami i popularnością, o, tobyśmy inaczej pisali. Liczylibyśmy na miernotę umysłową, kierowali się różnymi względami i względzikami, dostosowywali się do szarzyzny galicyjskiej. Ale myśmy zawsze rzecz nazywali po imieniu; zarzucano nam nawet nieraz jaskrawość formy i treści dlatego właśnie, żeśmy młodzież chcieli wyrwać z drzemki, z apatyi śmiałem, ognistem słowem. Patryotyzm nasz może i różni się od waszego: nie polega na frazesach, nie oscyluje między „pracą organiczną“ a rewolucyą, nie ucieka ze strachem przed ideałami ogólno-ludzkimi; patryotyzm nasz to nie mdły wyraz, to szeroka myśl polityczno-społeczna, rozgrzana ogniem naszych serc, owiana tchnieniem nieśmiertelnych ideałów. A kto chce podejrzywać nas o obłudę, temu odpowiemy z Krasińskim:

Nie znam na was hańby słowa!
Nie że język mój ubogi,
Lecz że boską ludzka mowa!
Nadto piękna — czysta — święta,
Bo z anielskich krain wzięta —
By was nazwać po imieniu!

* * *

Redakcya „Teki“ oświadcza, że będzie wypleniała chwasty, które „stronnictwa socyalistyczne i ich prasa, do których zaliczamy także niektóre pisma, ukrywające na razie ze względów taktycznych jądro swego programu, sieją śród naszego społeczeństwa, a przedewszystkiem śród młodzieży naszej“. Panowie, nie chcemy rozstawać się z wami w gniewie. Na zakończenie więc damy wam przyjacielską radę: Wypleńcie wprzód z duszy swojej brzydkie chwasty — zawiści, podejrzliwości, fanatyzmu stronniczego i skłonności do marnych insynuacyj...

Korespondencye.

Z Zurychu.

W sobotę 23 b. m. była Wigilia Bożego Narodzenia. Otóż już po Wigilii położyłam się nad ranem, a w niedzielę zrana wycieczka do Raperswylu, gdzieśmy oglądali obrazy, zbroje, bibliotekę i wiele innych pięknych rzeczy. Najbardziej mi się podobał obraz, przedstawiający Polskę w postaci kobiety, leżącej na ziemi — z rozkrwawioną piersią i z kajdanami na rękach; malowidło to jest na suficie w jednej z sal. Potem wspaniały widok przedstawiał jakiś sęp czy orzeł, umieszczony pośrodku zamkowego dziedzińca. Znajduje się on na kolumnie, jak gdyby chciał się zaraz zerwać do lotu... Właśnie wówczas, gdyśmy tam byli, — jego głowa i skrzydła były pokryte śniegiem, więc miał wygląd białego, polskiego orła... W zamku znajduje się kapliczka, w której się przechowuje serce Kościuszki. Wszystko to jest piękne i drogie dla każdego Polaka, kochającego swój kraj i znającego przeszłość jego: ale mnie ogarnęło wzruszenie, graniczące ze strachem, gdym się znalazła sama jedna w sali starej zbroi i ubrań. Najrozmaitsze hełmy, czapki, mundury, — wisiały na ścianach lub w oszklonych szafach. Mnie się zdawało, że ponad tymi mundurami lada chwila ujrzę jaką martwą twarz z pałającym wzrokiem i groźnie zsuniętymi brwiami... Myślałam, że może niejeden z tych mundurów został przeszyty kulą nieprzyjacielską, niejedno szlachetne serce na zawsze bić przestało... Miałam wówczas uczucie, jak gdybym się znajdowała w jakiejś świątyni... Nie śmiałam głośniej przemówić; chciało mi się modlić i płakać zarazem nad tymi, co może byli pochowani we wspólnej mogile — bez liczby i imienia... Zwiedzanie zamku trwało parę godzin. Gdyśmy wstępowali na schody, jeden z kolegów sfotografował nas. Oprowadzał nas wszędzie jakiś staruszek; dopiero pod koniec zjawił się sam gospodarz obywatel Lewakowski, który bardzo serdecznie zaprosił całe towarzystwo na śniadanie do swej willi, położonej nieco dalej od zamku. My naturalnie nie daliśmy sobie tego dwa razy powtarzać, i wszyscy poszliśmy za nim. Spotkała nas żona obyw. Lewakowskiego, — bardzo miła osoba i nawet dobrze mówiąca po polsku, chociaż jest angielką. Śniadanie było obfite: szynka, ser, masło, pieczeń na zimno, chleb, — potem herbatka; wszystko naturalnie było przeplatane licznymi toastami i śpiewami. O

godzinie 3-ej po południu pożegnaliśmy gościnnych gospodarzy i pospieszyliśmy na dworzec. Do Zurychu przyjechaliśmy o 5-ej, czy 6-ej wieczorem. Zaledwie mieliśmy czas chwilkę odpocząć, bo o 8-ej trzeba było być na odczycie kol. K. L. „O manifestacyach studenckich w Warszawie“. Temat to bardzo bogaty dla dyskusyi, więc rzeczywiście mieliśmy co słuchać. Odczyt trwał niedługo, ale potem zaczął się właściwie spór: jedni byli przeciwni tym manifestacyom, twierdząc, iż studenci — polacy nie powinni byli się solidaryzować z Moskalami, tembardziej że nic nie wywalczyli dla polaków, gdyż nie żądali ani języka polskiego w zakładach naukowych ani nic podobnego, — inni zaś utrzymywali, że — chociaż strejkujący nie jeden błąd w taktyce popełnili — wystąpienie ich uznać należy za dodatni objaw rewolucyjnego usposobienia. Ogromna większość tych, którzy w strejku udziału nie brali, pokrywała frazesami tchórzostwo i małoduszność. Z postępowymi rosyanami możemy się łączyć, kiedy ci występują nie przeciwko nam, lecz przeciwko wspólnemu naszemu wrogowi — rządowi carskiemu. Dyskusya ta przeciągnęła się do 4-ej po północy. O dziesiątej rano w poniedziałek – 25 grudnia — delegaci musieli już być na pierwszem posiedzeniu; ja na szczęście do nich nie należałam, więc mogłam spać dłużej, gdyż plenarne posiedzenie odbyło się popołudniu. O tych plenarnych posiedzeniach wiele mówić nie będę, — gdyż można się dowiedzieć od każdego, kto był na zjeździe; zresztą będą drukowane sprawozdania. Powiem tylko, że tego dnia odbyło się jak się należy i trwało tylko do godziny 9-ej wieczorem, gdyż tego samego dnia miał jeszcze kol. delegat z Paryża wygłosić odczyt o Słowackim i jego dziełach. Odczyt ten zrobił na mnie silne wrażenie: nie dawał on jasnego pojęcia o Słowackiem i jego poezyi, lecz sam przez się był poezyą. Styl bardzo piękny, gładki, pełen poetycznych zwrotów i porównań. Najbardziej mię wzruszył koniec: prelegent opisał tu samotną mogiłę naszego wieszcza, rzuconą daleko od stron jego rodzinnych i zapewne duch jego niema spokoju, bo jego ciało złożono w obcej ziemi — macosze, — więc my oddajmy mu ostatnią usługę i przenieśmy te zwłoki do kraju.

Po tym odczycie dyskusyi nie było, gdyż nikt nie miał mu nic do zarzucenia, — wszyscyśmy byli przejęci i wdzięczni prelegentowi za te parę godzin.

O następnych posiedzeniach wiele pisać nie będę; powiem tylko, iż w środę 27 grudnia na plenarnem posiedzeniu nastąpił rozłam: część plenum prosiła, by jeden z obecnych (już nie „kolega“, ale „pan“, bo jest uznany za infamisa) — opuścił salę, gdyż z tak plugawą osobistością niepodobna obradować*); drudzy się sprzeciwiali temu „do czasu“, jak mówili, aż nie zapadnie nad nim nasz wyrok, skazujący go na infamię. Ale ponieważ sąd ten ciągnął się strasznie długo — od 3-ej do 6-ej, i nie wiadomo było, jak i kiedy się skończy, — większość z sali wyszła. Przewodniczący zaczął nas zaklinać w imię polskości i tych ideałów, które nas łączą, byśmy zostali; jeden z kolegów próbował siłą nawet zatrzymać, zatarasowując drzwi, — lecz wszystko napróżno: opuściliśmy salę i wyszliśmy na ulicę...

Z początku nie mieliśmy określonego planu co do dalszego postępowania, ale wkrótce postanowiliśmy się zebrać o 8-ej w jednym lokalu dla obrad. Tam też postanowionem było, iż od tej chwili występujemy z dawnego „Zjednoczenia“ i będziemy stanowili odrębne stowarzyszenie — „Nowy związek postępowej młodzieży polskiej“. Delegaci, którzy się do nas przyłączyli, cofnęli swe mandaty.

I oto nareszcie nastąpił kryzys. Już od dawna był on przewidziany, ale dopiero na XIII-ym zjeździe urzeczywistnił się.

Może wielu uzna przyczynę tego rozłamu za zbyt błahą: odpowiemy na to, że leży ona głębiej, że to się przygotowywało od dawna, tylko właśnie ten infamis był kroplą, przepełniającą naczynie. Może dla kogo będzie to smutnym objawem, ale ja powiem szczerze, że się cie-

---

*) Mowa tu o indywiduum, które napisało do „Przeglądu Wszechpolskiego“ korespondencyę, obrzucającą błotem pewną powszechnie szanowaną koleżankę Zuryską, a pośrednio znaczną część kolonii polskiej. (*Red.*)

szę, bo wierzę, że u nas będą lepsze siły, mające więcej żywotności. Może tamci są rozważniejsi, — ale ja wolę tego, co podłość odrazu i śmiało nazywa podłością, nie szukając tłómaczeń i motywów!...

Dnia 27 grudnia skończyliśmy swe posiedzenia już nie jako XIII-go zjazdu, ale jako posiedzenie I-go zjazdu „Nowego związku postępowej młodzieży polskiej“. W końcu wybraliśmy trzech obywateli na naszych członków honorowych: jenerała Wróblewskiego, ob. Limanowskiego i ob. Henryka Bukowskiego.

Wogóle atmosfera tych ostatnich posiedzeń była bardzo przyjemna: czuliśmy się jacyś blizcy, silni, bośmy się nie rozbili, aleśmy utworzyli nowe stowarzyszenie, na którego działalność odrazu złożyliśmy około 100 fr.

Nareszcie wczoraj — 28 grudnia odbył się bal na cel „Czerwonego krzyża“, towarzystwa pomocy więźniom i emigrantom politycznym.

Na balu tym było nas zaledwie kilkadziesiąt osób; bardzo zmęczył wszystkich zjazd, więc wielu nie przyszło, a z tamtego „Zjednoczenia“ przyszło zaledwie parę, czy też nawet jedna osoba która, już pierwej kupiła bilet; oni urządzili w innym lokalu jakiś tańcujący wieczorek.

Ale pomimo to było nam wesoło; nie był to już wprawdzie oficyalny bal, ale taki swojski, koleżeński wieczorek. W przerwie między tańcami jeden z kolegów-gości zadeklamował bardzo ładny wiersz: potem śpiewaliśmy chórem. Mazura i oberka grały do tańca koleżanki, bo te „szwaby“ nie umieją, — mazur u nich się gra tak, jak walc!

Do końca nie byłam, bom się czuła już strasznie wyczerpaną. Dziś się obudziłam o pół do 3-ej, nigdy mi się w życiu nic podobnego nie zdarzało!... Obiadu w naszej kuchni już nie dostałam, więc wypiłam u siebie herbatę z dwoma kolegami, a potem poszłam do koleżanki, gdzie zastałam spore grono młodzieży.

Lampyśmy nie zapalali dla większej poetyczności... i tak w pół zmroku śpiewaliśmy różne wyjątki z oper, śpiewki polskie i dumki ukraińskie... Wówczas stanęła mi przed oczami wyobraźni nasza wiejska zagroda — tam daleko, na Ukrainie... ten domek, kryty słomą, otoczony owocowemi drzewami...

I u nas pewnie w tej chwili śpiewają tak samo dumki ukraińskie, i ich myśli lecą tu do mnie, która wyleciałam z rodzinnego gniazda daleko, daleko... Pierwszy raz zrozumiałam, iż można być samotną w licznem towarzystwie.

Ale te moje marzenia przerwał brutalnie jeden z kolegów, przypominając, że czas już iść na odczyt (kol. K. z Paryża) „O wychodźtwie polskiem“. Odczyt ten był bardzo ciekawy. Między innemi mówił o szkole Batignolskiej w Paryżu, która jest obecnie w opłakanym stanie: profesorom jest dobrze, lecz uczniowie wychodzą z niej, nie umiejąc mówić ani czuć po polsku. Naprzykład jeden z takich uczniów na tegorocznym obchodzie listopadowym miał mowę (po francuzku, niestety), w której wygłosił, iż nasz król St. Batory walecznie się bił pod Grünwaldem!... Wobec takich rezultatów, fundusze szkoły należy zużytkować w sposób pożyteczniejszy: na szkolnictwo w Paranie lub na Śląsku, albo też na stypendya dla niezamożnej młodzieży polskiej.

Oprócz tego, była też mowa o Paranie. Dowodził on, że powinniśmy wziąć czynny udział w dawaniu składek pieniężnych na oświatę w tej kolonii dla tej już nie garstki z naszego narodu, bo około 100.000 mieszkańców tam się znajduje: w innym razie grozi jej wynarodowienie się.

Obliczono już, że na założenie tam pisma, biblioteki i szkolnictwa potrzeba od 2000 do 3000 guldenów, względnie rubli: od września 1899 r. zebrano dopiero 600 guldenów, — więc brakuje jeszcze koło 2000 g.; a nam chyba powinno zależeć na tem, by ta sprawa została załatwiona jak najprędzej.

Więc zwracam się do Was, koleżanki i koledzy! dajmy mało, o ile na to wystarczą nasze studenckie środki, — ale niech da każdy z nas!

Po odczycie kol. K. nasz I zjazd właściwie się skończył, więc na drugi dzień, czyli 30 grudnia, część gości odjechała. O 2-ej po południu odprowadzaliśmy na dworzec kolejowy delegatów z Paryża, naturalnie należących do nas, bo tamci

jeszcze wczoraj po obiedzie mieli plenarne posiedzenie, a jutro zrana dopiero, czyli 1 stycznia ma być sąd nad tym „panem", któregośmy już i bez sądu uznali za infamisa. Gdyśmy przyszli na dworzec z pakunkami w ręku, z różami przy klapach od surdutów, — przedstawialiśmy wspaniały widok, więc zdziwieni „hajbowie" przypatrywali się nam jak zamorskim stworzeniom. O porządku i ciszy nie mogło być mowy.

Jeden z kolegów przypomniał, jak tydzień temu oczekiwaliśmy tu na gości. Wówczas było chłodno, więc zziębnięci, zniecierpliwieni (bo nieraz trzeba było czekać bezskutecznie po kilka godzin), przestępując z nogi na nogę, — wygwizdywaliśmy różne urywki ze „Strasznego dworu", lub też zwracaliśmy się do przechodniów z zapytaniem: „czy kolega jest kolegą, czy też nie jest kolegą?"...

A teraz już ci koledzy opuszczają nas, i znowu zapanuje w Zurychu dawna, spokojna atmosfera, — cicha praca studenckiego, codziennego życia.

Gdy nasi goście już wsiedli do wagonu i rozległ się gwizd lokomotywy, — zerwaliśmy czapki z głów i, powiewając niemi w powietrzu, zaśpiewaliśmy „czerwony Sztandar". Długo jeszcze tak staliśmy, śledząc z żalem za odjeżdżającym pociągiem.

Potem wsiedliśmy do łodzi i popłynęliśmy po jeziorze. Dzień był prześliczny: słońce grzało, jak na wiosnę, więc pozrzucaliśmy palta i takeśmy wiosłowali. Łodzie mknęły szybko, rozcinając wodę, jak ptaki... Na środku jeziora spotkały się wszystkie 10 łódek. Związaliśmy je w jeden długi łańcuch. Jeden z kolegów zaśpiewał, stojąc, (w łodzi) — i pomknęliśmy z powrotem do domów.

Dziś odjeżdżają jeszcze inni koledzy, a jutro zapewne zostaniemy już sami swoi.

Dziś mamy Wigilię Nowego Roku, więc przyjmijcie, koledzy „promieniści" serdeczne życzenia od koleż. z Zurychu.

Iskra.

Związek postępowej młodzieży polskiej.

Otrzymaliśmy litografowane sprawozdanie z I-go zjazdu Z. P. M. P. Z poprzedniej korespondencyi czytelnicy nasi już wiedzą, że nowa organizacya wytworzyła się skutkiem rozłamu w Zjednoczeniu Towarzystw Mł. pol. zagranicą. Już od dłuższego czasu w Zjednoczeniu istniały ostre zatargi, które podsyciła i w płomień rozdmuchała sprawa warszawskiego strejku studenckiego. Z tego powodu oczekiwano powszechnie burzliwych rozpraw na zjeździe. Nie spodziewano się wszakże rozłamu. Tymczasem w „Przeglądzie Wszechpolskim" pojawiła się, zażywająca dziś smutnej sławy korespondencya z Zurychu, odpowiednio ugarnirowana komentarzem redakcyjnym. W sprawie tej wszczęła się na zjeździe namiętna, trzy godziny trwająca dyskusya. Gdy wreszcie autora paszkwilu zmuszono do zdjęcia maski, część delegatów zażądała usunięcia go z sali. Proste poczucie koleżeństwa i przyzwoitości wskazywało, że żądanie to jest całkiem słuszne. Ale większość delegatów zacietrzewiła się w partyjnym uporze i odmówiła tak słusznej rzeczy. Wtedy część delegatów i większość zgromadzonych gości opuściła salę. Secesyoniści zgromadzili się wieczorem tego samego dnia i doszli do przekonania, że „opuszczenie sali, to nie chwilowa kłótnia — to zupełne, ostateczne zerwanie z drugą częścią zjazdu. Nie było już rzeczy, którąby nas łączyć mogła, gdy okazała się tak zasadnicza różnica w poglądach na koleżeństwo i etykę". Założono więc nową, organizacyę — Z. P. M. P. W osobach swoich delegatów przystąpiło zaraz do Zw. 10 T—stw; 6 innych ma przystąpić po zorganizowaniu się. Delegaci krajowi również oświadczyli gotowość przystąpienia. Na następnem posiedzeniu przyjęto z małemi zmianami wygotowany przez komisyę projekt ustawy. i przystąpiono do obrad nad najważniejszemi sprawami bieżącemi. W sprawie manifestacyi studenckich w zab. ros. zjazd powziął rezolucyę, którą tu podajemy w streszczeniu: „...Zjazd wyraża sympatyę tym, którzy brali udział w ostatnich rozruchach studenckich. Sympatya ta byłaby jeszcze większą, gdyby wspomniane rozruchy zaznaczyły samodzielne polskie żądania. Stanowisko tej części młodzieży warszawskiej, która przeciwdziałała strejkowi a-

kademickiemu, Zjazd uważa za fałszywe i w najwyższym stopniu naganne". Zjazd wyraża oburzenie tym dziennikom warszawskim, które umieściły odezwę, wzywającą do zaniechania strejku. Wreszcie za objaw, najbardziej godny potępienia, zjazd uważa haniebne solidaryzowanie się niby — postępowego i niby — rewolucyjnego „Przegl. Wszechp." z pismami ugodowemi, służącemi carskiemu rządowi". Już to wogóle na zjeździe „Prz. Wszechp." nie szczędzono, piętnując wystąpienia jego i w innych sprawach.

Dla nas szczególnie jest ważna rezolucya w sprawie „Promienia".

„Obowiązkiem starszej młodzieży jest popieranie szlachetnych dążeń wśród młodszych kolegów. Ponieważ zaś „Promień" wpływa na młodzież w duchu szczerze demokratycznym i narodowym, — I zjazd Z. P. M. P. zaleca młodzieży polskiej usilne popieranie tego pisma".

Po wyborze zarządu, złożonego z 5 członków, i wyznaczeniu miejsca na następny zjazd, — przewodniczący zamknął I zjazd Z. P. M. P.

Przytaczamy tu odezwę, wydaną przez Zw. po zjeździe.

Odezwa do kształcącej się młodzieży polskiej!

Koledzy!

XIII. Zjazd Zjednoczenia Towarzystw Młodzieży Polskiej Zagranicą zakończył się rozłamem: z górą trzecia część delegatów towarzystw — dwie trzecie Zjazdu zmuszone zostały do opuszczenia sali obrad — do wystąpienia z organizacyi.

Nie będziemy się tu wdawali w opis bezpośrednich przyczyn rozłamu: ograniczymy się jedynie na przytoczeniu następującej deklaracyi złożonej przez nas w prezydyum XIII. Zjazdu:

„Niniejszem zawiadamiamy Koło delegatów, iż opuściwszy posiedzenie Zjazdu, tem samem wystąpiliśmy ze Zjednoczenia, — a to dla następujących powodów:

1. Stronnicze stanowisko części Zjazdu wzięło górę nawet nad elementarnemi zasadami koleżeństwa i etyki.

2. Spowodowana przez nie jałowość obrad Zjazdu, przekonała nas o niemożliwości produkcyjnej pracy w ramach jednej organizacyi.

Występując ze Zjednoczenia dla powyższych powodów, zaznaczamy, że nie możemy uważać Zjednoczenia za bezpartyjne i postępowe, jakiem winna być organizacya młodzieży.

Antagonizm, który do rozłamu doprowadził — leży głębiej — istnieje dawniej.

Od pewnego czasu zaznaczała się w Zjednoczeniu coraz wyraźniej walka przeciwko części jego członków, przeciw tym, którzy przekonaniowo skłaniali się ku socyalizmowi. Spór wszedł na tory walki dla walki. Antagonizm zaognił się i zaostrzył napływem do Zjednoczenia jednostek i kół, nie mających nic wspólnego z ogólno-postępowym duchem młodzieży. Na tym terenie walki — nieporozumienia musiały wybuchnąć — prędzej czy później musiały doprowadzić do zerwania. Walka na Zjeździe, przekraczając granice koleżeństwa, uniemożliwiła wszelkie obrady. Z powodu przeciągania się w nieskończoność wszelkich najprostszych, najogólniejszych dyskusyi nie mógł nawet Zjazd dojść do najważniejszego przedmiotu obrad — do wniosku nad zreorganizowaniem Zjednoczenia w związek postępowej młodzieży polskiej.

Delegaci Towarzystw i obecni na Zjeździe byli członkowie Zjednoczenia pod tem hasłem jednoczą się teraz w nową organizacyę.

Celem organizacyi naszej jest połączenie wszystkich żywotnych sił polskiej młodzieży. Łączymy się z organizacyami krajowemi, jak również z polskiemi organizacyami rosyjskich uniwersytetów. dla których my z zagranicy powinniśmy być pomocą w walce przeciw ciążącemu na nich uciskowi.

Jednocząc się pod ogólno-postępowemi i ogólno-rewolucyjnemi hasłami młodej Polski, jednocząc się w walce o ideały wolności, nie stajemy na żadnem określonem partyjnem stanowisku. Młodzież jako całość organizacyjna, nie zróżniczkowana jeszcze, nie wcielona w ramy społecznych stronnictw — tylko na tym punkcie ogólnych wolnościowych walk. ogólnych postępowych dążeń zjednoczyć się może i powinna.

W imię tych haseł najszerszego połączenia wszystkich sił młodej Polski — wzywamy wszystkich tych, których takie ideały łączą, do przystąpienia do „Związku Postępowej Młodzieży Polskiej“.

Z nad Ingułu.

Lodowa powłoka skuła wody Ingułu*), bezśnieżna zima zmieniła równiny „Dzikich Pól“, które się rozciągają bezmierną szarą płaszczyzną, urozmaiconą gdzieniegdzie szaro-żółtemi plamami zmarzniętej oziminy, w bezbarwne, pozbawione życia pole: chłodny, choć niezbyt mroźny wiatr przejmuje nieprzyjemnym dreszczem ciało podróżnego, spieszącego stepową drogą, a monotonny krajobraz napełnia serce jego jakąś nieokreśloną, pozbawioną jaskrawszych odcieni tęsknotą za czemś odmiennem, za czemś mającem więcej życia, choćby to owo „coś“ burzą być miało.

Bo też niema nic przykrzejszego, jak monotonność, jak brak życia i ruchu...

Taki właśnie brak życia i ruchu panował przez czas świąt w naszych kółkach uczniowskich — dziś spotkałem bibliotekarza korporacyi uczniów Polaków w naszem mieście, który mi się żalił, że przez te parę tygodni świątecznych wypożyczono u niego zaledwo parę książek treści beletrystycznej — zresztą zastój formalny.

I nic dziwnego — większa część kolegów, biorących udział w życiu kółkowem, rozpierzchła się po wioskach, dworach i dworkach, gdzie oddali się całkowicie upędzaniu się za biednymi szarakami, nie dając im spokojnie zasnąć pod skibą, a ci, co zostali, też każdy na własną rękę starał się wyzyskać czas wakacyjny, więc czy to wytańcowywał zawzięcie na wieczorkach, czy nie mniej zawzięcie objadał pozawieszane na choinkach złocone orzechy, lub opróżniał zawartość misternych bombonierek — jednem słowem każdy z czystem sumieniem starał się całkowicie zapomnieć o tych moralnych kajdanach, które gniotą młodzież naszą w szkole rosyjskiej, a ponieważ życie kółkowe ściśle jest związane z życiem w szkole, przeto i o niem zapomniano na chwilę z przyjemnością.

Ale nic to — zapomnienie owo jest tylko chwilowe, niebawem zjadą się młode wiarusy, korytarze szkolne napełnią się znów gwarem, nauczyciele w urzędniczych mundurach zajmą swe miejsca, rozpoczną się lekcye, a tem samem rozpocznie się i owa skryta a nieustanna walka, do której pcha naszą młodzież rusyfikacyjna polityka wychowawcza tutejszych pedagogów, a ruch umysłowy tajnych korporacyi, popychany przez nią, pójdzie dalej swym trybem i znów w murach owych koszar czyli szkoły rosyjskiej odżyje widmo skrytego buntu i protestu, który tak starannie i bezwzględnie starają się zdławić „diejatiele“, noszący miano pedagogów... A propos murów: niedawno się dowiedziałem, że jeden z takich „diejatieli“ pan Paweł Wasiljewicz Grabowskij, dyrektor gimnazyum w Białej-Cerkwi, miał się odezwać w jednej ze swych mów inauguracyjnych, wystosowanych do uczniów, mniej więcej w ten sposób: „ja nie pazwolu, cztoby moi uczeniki oskwierniali stieny zdanija polskim jazykom“...*) (w gimnazyum Białocerkiewskiem jest większość uczniów Polaków) i podobno skutkiem owej mowy jest to, że blizko 60-ciu kolegów Polaków opuściło owe mury (rozumie się, nie dobrowolnie).

Postaram się kwestyę tę zbadać na miejscu i przesłać Wam szczegółowe sprawozdanie o tem, albo też może który z kolegów Białocerkwian, przeczytawszy te słowa, zechce bezpośrednio zakomunikować Redakcyi „Promienia“ przebieg całej tej sprawy. Tymczasem kończę tę ubogą notatkę, przepraszając za jej szczupłość, ale ja też przez święta objadałem choinki i przy zajęciu tem nie miałem czasu na zbieranie spostrzeżeń, odkładam tedy obszerniejszą pogawędkę do następnego numeru. *Grzymalita.*

Z Rzeszowa.

Jak wszędzie, tak naturalnie i u nas młodzież spoczywa błogim snem umysło-

*) Nie myślcie czasem, koledzy, że Inguł jest rzeką większą od waszej Pełtwi.

*) Nie pozwolę, aby moi uczniowie hańbili mury szkolne mową polską.

wym i tylko mała garstka zajmuje się życiem publicznem narodu i kształci się, o ile to w tak zaściankowem mieście jak Rzeszów, jest możliwe. Natomiast profesorowie rozwinęli gwałtowną agitacyę na rzecz „Przyjaciela młodzieży“ i piorunują na „Promień“, który tu się zaczyna rozszerzać. Rzecz prosta, że odnosi to często wręcz przeciwny zamiarowi skutek, bo wzbudza tylko zainteresowanie się obydwoma pismami, z których lepsze zwycięża. Światłodawcy nasi traktują podobnie kwestyę oświecenia umysłów, jak tutejsza gazownia oświetlenie miasta: gaz wtłoczony w rury i zapalony w latarniach albo świeci, albo i nie. Nie świeci np. gdy Wisłok wzbierze i woda rury wypełni: a zawsze kto winien? Jużci że światłodaw... o pardon! gazownia!

Szanowny p. prof. B. wybaczy, że mi się mimowoli wymknęło porównanie go z gazownią, ale go pocieszę zapewnieniem, że niezupełnie do niej podobny. Bo podczas gdy ta ostatnia czasami tylko pozwala sobie na wodne wybryki, to p. profesor ciągle bez miłosierdzia wtłacza nam w mózgi zawartość wypisów hr. Tarnowskiego, karząc dwójką winowajcę, co się odważył opowiadać dany żywot własnemi słowy lub zapomnieć imienia ojca omawianego pisarza. Tak się wyrabia bezmyślność i ogłupia się pamięciowem kuciem bez zrozumienia.

Bursa, jak wszędzie, jest pod szanowną dyktaturą ks. kanonika, ale chyba nigdzie absolutyzm nie dopuszcza się w bursach tylu nadużyć, jak u nas. Zresztą o tem jeszcze napiszemy. *Spółka.*

Bibliografia.

Mołoda Ukraina. Czasopyś ukraïnskoï mołodiży. Rok 1, Nr. 1. Lwów 1900.

Z serdeczną radością witamy pierwszy numer tego czasopisma, które ma być tem dla młodzieży ukraińskiej czem „Promień“ jest dla polskiej. Z artykułów „Młodej Ukrainy“ wieje duch gorącej miłości dla ludu, tryska zapał młodzieńczy i wiara w ideały postępu. „Młoda Ukraina“ nie żywi niechęci względem narodu polskiego; wie, że niema żadnej zasadniczej sprzeczności interesów między narodem polskim a ruskim; a jeżeli temu ostatniemu dzieją się w Galicyi krzywdy, to winowajcą jest nie lud polski, lecz żywioły uprzywilejowane, które nam również dolegają. Szerokie warstwy społeczeństwa polskiego i ruskiego, te, które są karyatydą gmachu cywilizacyi, mają wytyczoną wspólną drogę — słoneczny szlak wolności, równości, brat-rstwa. Sami zbyt boleśnie odczuwamy ucisk narodowościowy, abyśmy mogli zaprzeczać Rusinom prawa do bytu samoistnego. „Za naszą wolność i waszą“ — to szczytne hasło nie jest dla nas frazesem ceremonijalnym, ale prawidłem postępowania.

„Młoda Ukraina“ poświęciła też w 1-ym N-rze dłuższą wzmiankę naszemu pismu: wyraża się o „Promieniu“ bardzo sympatycznie, powołując się zwłaszcza na to, cośmy o sprawach ruskich pisali.

Treść 1-go N-ru jest bogata i urozmaicona. Życzymy „Młodej Ukrainie“ owocnej pracy i ślemy jej szczere koleżeńskie pozdrowienie.

Adres Redakcyi: ul. Kopernika 54. Administracyi ul. Czarnieckiego 26. Prenumerata wynosi: w Austryi rocznie 6 kor., półrocznie 3; za granicą rocznie 8 kor., półrocznie 4.

Świeżo wyszła z druku powieść Stefana Żeromskiego p. n. **Ludzie bezdomni.** Pisaliśmy już niejednokrotnie o literackiej działalności tego znakomitego autora, przesiąkniętej tak głębokiem odczuciem wszystkich krzywd i wszystkich bolów naszego narodu, że w tym względzie Żeromskiemu nikt może ze współcześnie piszących nie dorównywa.

Prawdopodobnie pomówimy też w jednym z najbliższych numerów „Promienia“ o „Ludziach bezdomnych“, a raczej o najżywotniejszych zagadnieniach, które powieść ta porusza. Tymczasem zaznaczamy tylko, że „Ludzi bezdomnych“ zaliczyć należy do najcelniejszych utworów współczesnej naszej literatury, — gorąco też polecamy ją Kolegom do przeczytania.

„Strumień“. Nie będziemy tu wyłuszczali poglądów swoich na t. zw. modernizm literacki, który zresztą jest nazwą zbiorową dla bardzo rozbieżnych, nieraz wprost sprzecznych kierunków. Poprzestaniemy na kilku słowach. W poezyi cenimy przedewszystkiem talent — i przed nim zawsze czoło pochylimy, chociażbyśmy się na kierunek nie godzili. Wiemy też, że zarówno treść, jak forma poezyi ulegają i ulegać muszą zmianom; cieszymy się, kiedy w poezyi da się

wyczuć „nowy dreszcz“. Albo — mówiąc ze Słowackim — „Honor myślom, z których błyska nowy duch, czy forma nowa...“

Powstajemy wszakże energicznie przeciwko zacieśnianiu widnokręgów literackich, przeciwko kultowi swego „Ja“, przeciwko powodzi egotyzmu. Nigdy się nie zgodzimy na to, aby z poezyi usunąć należało — społeczeństwo, lub też aby wypadało je traktować jak psa, zasługującego na „nadczłowiecze“ biczowanie.

A już poprostu śmiech nas bierze na widok kogucików modernistycznych, uważających śmietnik, po którym z powagą kroczą, za jakiś święty „praił“, a swoje hałaśliwe „kikeryki“ za tony harfy eolskiej. Śmiech nas bierze, gdy widzimy dymisyonowanych „społeczników“, którzy po kilkotygodniowym pobycie w cytadeli, uznają się za „znużone dusze“ i miotają gromy na ludzkie „stado“. Śmiech bierze, gdy się patrzy na te napuszone postaci, pełne blagi, przesady, maniery, które nie mają doprawdy ani „biednego, biednego mózgu“, ani też „nagiej duszy“.

Typowym okazem tego rodzaju istot jest, jak się zdaje, redakcya „Strumienia“, nowego pisma literackiego w Warszawie. Panowie ci obiecali nam w prospekcie dokonać niesłychanych rzeczy, dźwignąć literaturę na niesłychane wyżyny. Mając w tornistrze swej twórczości zaledwie kilka artykułów, kilka wierszyków i kilka innych utworów, dowiedli w ten sposób wielkiej odwagi, a nawet — zuchwałości. W pierwszych zaś 2-ch numerach, które mamy przed sobą, dowiedli jeszcze, że posiadają kolosalny zapas — arogancyi i bezczelności. Tak przynajmniej sądzić można z wywnętrzeń p. St. Pieńkowskiego, który w „Strumieniu“ jest widocznie „spiritus movens“. Bohaterowie współczesnych naszych utworów powieściowych — twierdzi p. Pieńkowski — „to nawet nie ludzie“. Jakieś tam szwaczki, jacyś studenci, jacyś lekarze prowincyonalni, wreszcie jacyś czukcze — fi donc... Kto widział takie istoty pasować na bohaterów? „To nawet nie ludzie“... P. Pieńkowski z arystokratyczną wzgardą wydyma wargi, a nasze „społecznikostwo dekadenckie“(!) razi jego bohaterską duszę. Nic dziwnego, że Stefan Żeromski, pisarz olbrzymiego talentu i bardziej m o d e r n e od wszystkich „modernistów“ razem wziętych — znalazł w p. Pieńkowskim nieubłaganego pogromcę. Ostatnia jego powieść „Ludzie bezdomni“ — to „samobójstwo artystyczne“, to utwór drewniany, to fotografia, nie dzieło sztuki; nawet język jest całkiem marny. A potem — utwór Żeromskiego ma „tendencyę“ społeczną... Tendencyę społeczną... P. Pieńkowski słucha — i grzmi.

Nie, p. Pieńkowski, tyś nie żadne naczynie dziwnego nabożeństwa poetyckiego, ale zwyczajna spluwaczka modernistyczna; nie żaden bohater, ale pospolity Thersytes. A choćbyś wrzeszczał wniebogłosy, nikt nie uwierzy, żeś Zarathustra. Jesteś pan poprostu p. Stanisław Pieńkowski, współredaktor „Strumienia“.

Kronika.

Załobna rocznica. 28. stycznia 1886 roku dźwignięto w Warszawie pierwsze po powstaniu szubienice. Czterech rewolucyonistów powieszono, za to, że ukochali miłością bez granic i miary lud pracujący, że wypowiedzieli wojnę caratowi moskiewskiemu, temu wampirowi, utuczonemu krwią ludów. Sędzia Bardowski (rosyanin), student Kunicki i robotnicy: Ossowski i Pietrusiński padli w świętym boju o wolność i sprawiedliwość, a jak mężom tej miary przystoi, umierali bez strachu, rzucając siepaczom w twarz dumny rewolucyjny okrzyk.

Rząd carski mniemał, że szubienice odstraszą lud polski od walki o wyzwolenie. Srodze się omylił. Bo „krew jest dziwnym płynem“, który spaja wiązania nowych budowli społecznych, bo miejsce tych, którzy ubyli z szeregów, zapełnia się nowymi zastępami. A imiona męczenników, pamięć ich czynów — stają się hasłem, sztandarem, pobudką wojenną. Żałobna rocznica śmierci 4-ech członków partyi „Proletaryat“ jest zarazem chwilą, kiedy, lustrując armię bojowników wolności, powtarzamy z Mickiewiczem: „Tak! zemsta, zemsta, zemsta na wroga!“

Nikczemna propaganda. Ks. Stojałowski, który przewrotność jezuity łączy z bezczelnością „oszusta politycznego“, nie zaprzestaje swej nikczemnej propagandy moskalofilskiej. Świeżo właśnie w kalendarzu „Wieńca“ i „Pszczółki“ na r 1900 uraczył włościan tą trucizną, podając im życiorys Puszkina i opis „puszkinady“ krakowskiej. Nie sympatyzujemy z Puszkinem, jako z człowiekiem bez charakteru, który ugiął się przed potęgą carską, a nawet hymny na jej cześć śpiewał; ale doprawdy ten Stojałowski, który zasłania się Puszkinem, aby kokietować z żandarmami moskiewskimi, ten Stojałowski hańbi pamięć — bądź co bądź — wielkiego poety. Artykuły bowiem o Puszkinie są tylko „artystycznym“ spo-

sobem wysławiania rządu moskiewskiego i jego polityki w Polsce.

Propaganda Stojałowskiego jest nikczemna — to fakt. Ale czyż tylko Stojałowski winien? Czyż sojusznikami jego nie są ci „puszkinowcy“ krakowscy, na których teraz Stojałowski z zadowoleniem może się powołać? Ci panowie, którzy zapraszali Komarowa do Krakowa i ściskali się z moskalofilami czeskimi i słoweńskimi? Ci dziennikarze polscy (a jest ich, niestety, wielu), którzy wysławiali Mikołaja II. za jego „humanitarne“ zamiary, ks. Imeretyńskiego — za jego „przychylność“ dla Polaków? Wszak — z powodu aresztowań warszawskich — „Czas“ i inne pisma stańczykowskie usprawiedliwiały rząd rosyjski, posuwając się wprost do denuncyacyi — podłej i kłamliwej...

Są to nikczemności jednego gatunku, choć różnej barwy. Jestto spółka: Cochon et Compagnie...

Demonstracya w „Narodnym Domu“. Trupa śpiewacka p. Nadiny Sławiańskiej zaszczyciła i Galicyę swoją obecnością. Zanim przyjechała do Lwowa, wyprawiła ucztę „artystyczną“ stanisławowianom. A ponieważ kacapi uważają, że świat cały do nich należy, więc wschodnia drużyna śpiewacka uraczyła publiczność stanisławowską jakimś hymnem na cześć „prawosławnego cara“. Wiadomość o tem podało „Słowo polskie“, potwierdził ją „Kurjer Stanisławowski“ z d. 21. stycznia. Młodzież polska we Lwowie oburzona była tym postępkiem. Oburzenie podsycała jeszcze ta okoliczność, że p. Sławiańska, nie umiejąc odróżnić Galicyi od Rosyi, w afiszach, programach, na biletach wejścia, używała języka rosyjskiego. Wogóle te — niby — artystyczne popisy rosyjskie były wodą na młyn moskalofilów galicyjskich. Nic dziwnego, że we Lwowie znaleźli się ludzie młodzi i energiczni, nie ogarnięci apatyą, zwykłą w Galicyi, którzy na drugim koncercie p. Sławiańskiej zaprotestowali przeciwko hecom moskalofilskim. Demonstracya rozpoczęła się krzykiem i gwizdaniem; gdy „śpiewacy“ rosyjscy nie przerywali mimo to popisu, śpiewacy na sali odpowiedzieli grzmiącym hymnem „Jeszcze Polska nie zginęła“. Wtedy moskalofile pod wodzą p. Monczałowskiego, redaktora „Haliczanina“, rzucili się na demonstrujących. Tęgi policzek zmusił p. M. do odwrotu, a jego satelici, odpowiednio obrobieni kijami, cofnęli się za nim. Zrobiwszy swoje, demonstranci opuścili salę. Z ulicy już wybito kilka szyb w sali koncertowej. Wtem przybywa oddział wojska, po które posłano jakiegoś ucznia, i oddział św. Hermandady. Uczestników demonstracyi siła zbrojna otacza i prowadzi na policyę. Tu im ogłaszają wyrok: 5 zł. grzywny lub 12 godz. aresztu.

Ciekawe w tej sprawie stanowisko zajęła prasa galicyjska (oczywiście pomijamy tu „Haliczanina“, który ma wszelkie osobiste i zasadnicze prawo pienić się z wściekłości). Prasa stańczykowska z wysokości swej powagi dyplomatycznej potępiła demonstrujących: oczywiście, „wybryki szowinistyczne, za które Moskale mścić się będą“ paradują tu jako widmo, którem straszy się filistrów. Jak gdyby Moskwa nie srożyła się tem skuteczniej, im my jesteśmy spokojniejsi i mniej na kopnięcia wrażliwi! Niektóre pisma dopatrują się w tem antagonizmu względem rusinów, a nawet — co za bujna fantazya! — domieszki antysemityzmu. Nie wiadomo doprawdy, co demonstracya przeciwko moskalofilstwu może mieć wspólnego z szowinizmem antiruskim lub z antysemityzmem. „Słowo polskie“ wreszcie potępiło „wybryki“ w imię — „międzynarodowości sztuki“... A przecież to samo „Słowo“ było przeciwne obchodowi Puszkinowskiemu, chociaż Puszkin był niewątpliwie przedstawicielem rzetelnej sztuki; tymczasem p. Sławiańska tylko jarmarczną sztukę wyobrażać może. Ciekawiśmy zresztą, coby „Słowo polskie“ powiedziało, gdyby teatr lwowski zechciał wystawić „Życie za cara“ Glinki, lub gdyby ktoś zadeklamował na koncercie „Oszczercom Rosyi“ Puszkina?

Zmarły niedawno dr. Kostanecki był jednym z najsympatyczniejszych przedstawicieli młodego pokolenia. Nie zasklepiał się w swej specyalności, chociaż był tęgim „fachowcem“, nie wyrzekł się ideałów społecznych dla karyery. Jako prezes „Bratniej Pomocy“ i „Zjednoczenia“ krakowskiego, czynny brał udział w pracach młodzieży. „Radykał“ i „obcokrajowiec“ — nosił podwójny stygmat, który sprawia, że się w życiu nie doznaje wiele powodzenia. Odmówiono mu obywatelstwa austryackiego; usunięto go z posady asystenta przy katedrze fizyologii. Zarabiał na życie, jako prywatny asystent prof. Bujwida.

Robotnicy i młodzież postępowa zebrali się na cmentarzu, aby uczcić pamięć zmarłego. W imieniu „Zjednoczenia“ przemawiał dr. Ryszard Kunicki.

Z powodu śmierci dr. Kostaneckiego rozeszła się pogłoska, że umarł na dżumę. Wnet duchy ciemności postanowiły ukuć z tego broń przeciwko pr. Bujwidowi, którego nienawidzą za

jego szlachetny charakter i przekonania demokratyczne. Tymczasem zamach nie udał się. Ale intryganci czyhają tylko na nową sposobność.

Aresztowania w Warszawie. Żniwo policyjne było obfite, tak że zapełniło X. Pawilon Cytadeli i „Pawiak". A kiedy już zdawało się, że pachołki rządowe odpoczną na jakiś czas po mozolnej pracy, nastąpił nowy pogrom. Tym razem pochwycono najmłodszych: 9-go stycznia w mieszkaniu na Chmielnej aresztowano 28 gimnazistów i kilku słuchaczów uniwersytetu. Uczniów gimnazyów warszawskich rychło wypuszczono, innych zatrzymano. Jaka była zbrodnia aresztowanej młodzieży, nie wiadomo; w pismach galicyjskich czytaliśmy, że naradzano się nad sprawą samokształcenia w literatu ze polskiej. Takich rzeczy rząd moskiewski naturalnie ścierpieć nie może... A ugodowcy warszawscy i stańczycy galicyjscy powiedzą naturalnie zgodnym chórem: poco się narażać? Siedzieć cicho i czekać łask carskich...

Uniwersytet ludowy im A. Mickiewicza. Z Nr. 2. „Wiedzy dla wszystkich" czytelnicy nasi zaczerpnąć mogą szczegółowych wiadomości o rozwoju pożytecznej tej instytucyi w ubiegłym semestrze. W Nr. tym znajdą również kilka bardzo zajmujących i pouczających artykułów („Idea nasza", „Rozwój oświaty ludowej", „Z wrażeń prelegenta", „W jaki sposób czytamy ze skał dzieje ziemi".) W notatce tej poprzestaniemy na przytoczeniu kilku cyfr, dających pewne pojęcie o działalności zasłużonego już na polu oświaty ludowej Uniwersytetu.

W r. 1899 było we Lwowie członków Tow. „Uniwersytetu ludowego" — 313. W semestrze ubiegłym odbyło się we Lwowie 70 wykładów, których słuchało 3.758 osób, w tej liczbie było młodzieży szkolnej — 789 osób. 9. prelegentów lwowskich wykładało też na prowincyi (Stanisławów, Przemyśl, Jarosław, Morawska Ostrawa itd.): 40 ich wykładów słuchało 10.200 osób Record osiągnął niezmordowany inż. Libański, który wygłosił na prowincyi 24 wykłady! — Oddział krakowski liczy 266 członków, w listopadzie i grudniu urządził 38 wykładów, których słuchały 4.194 osoby (w tem 35 prc. robotników). Zasługuje na uwagę, że w Krakowie w uniw. lud. nie „wstydzą" się i nie boją wykładać profesorowie wszechnicy Jagiellońskiej, podczas gdy ich koledzy lwowscy bojkotują Uniw. ludowy. W ostatnich czasach dano tu asystentom Uniwersytetu do zrozumienia, by nie ważyli się brać udziału w wykładach — jeśli nie chcą narazić swej karyery.—W Przemyślu odbyło się 15 wykładów; liczba słuchaczów na każdym (przeważnie robotników) wynosiła 200—300.—W Stanisławowie 10 wykładów, słuchaczów 1950. K o l e d z y, p o p i e r a j c i e U n i w e r s y t e t l u d.!

Konfiskata. Broszura o Szymonie Konarskim, wydana przez „Zjednoczenie" lwowskie, uległa konfiskacie z a c a ł ą t r e ś ć. Broszura ta zawierała między innemi wyjątki z niedrukowanych dotychczas listów Konarskiego i wiersz, napisany przez niego w więzieniu. Przeciw konfiskacie wniesiono sprzeciw.

Stowarzyszenie „Dzwońców". Kierownicy szkół średnich w Krakowie, a w szczególności dyr. Sołtysik odkryli istnienie stowarzyszenia t. zw. „Dzwońców". Ze wszystkich gimnazyów pozbierani śpiewacy utworzyli to stowarzyszenie, które miało na celu śpiewać na każdym pogrzebie za zapłatą 2 lub 1 korony. Dzień w dzień przesiadywali wszyscy z tego szanownego stowarzyszenia na cmentarzu i ofiarowywali się rodzinom nieboszczyków. Zyski dzielili między siebie, a później rozbijali się knajpach i szynkowniach.

To samo stowarzyszenie brało zawsze żywy udział w urządzanych przez księży „Jasełkach" i w przedstawieniach amatorskich w „Przyjaźniach". Dziś stowarzyszenie to jest już rozbite, prezesowie wydaleni ze szkół, wielu członków wisi na włosku. Młodzież krakowska cieszy się z odkrycia tych „Dzwońców", którzy hańbili ogół studencki wstrętnem swem postępowaniem A czego to wynikiem? Zabaw w „Przyjaźniach", tolerowania przez księży niecnych postępków młodzieży. *(O)*

Wieczorek mickiewiczowski odbył się 16. grudnia w Podgórzu. Oprócz utworów Adama, deklamowano wiersze innych poetów (Słowackiego „Testament mój", Ujejskiego „Z dymem pożarów" z akompaniamentem orkiestry). Wieczorek udał się doskonale; tylko żywy obraz nie dopisał. Nazajutrz młodzież wręczyła pr. Mazanowskiemu sygnet, jako wyraz uznania dla jego niepospolitych zasług. *(G.)*

Wydawca: **Władysław Wolski** Odpow. redaktor: **Aleksander Wieleżyński**

Z Drukarni Udziałowej, Lwów, Lindego 8.